

WŁADYSŁAW ŁOZIŃSKI

LEGIONISTA

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

BIESIADA LITERACKA

169



95847

K-15918/102228

Warszawa, ul. k Synów St. Niemiry, plac Warecki № 4

I

Ostatnie strzały.

Miasto Lublin, sławna stolica trybunalska, rozgłośnie miejsce zjazdów szlacheckich, tak ludne i gwarne zawsze, smutny w czasie naszego opowiadania przedstawiało widok.

Burze wojenne, których widownią była Polska podczas swych ostatnich, krwawych zapasów o niepodległość, przebiegły srogą, niszczącą stopą po nim i jego okolicach.

Po trzykroć spalony Lublin składał się prawie z samych małych kamieniczek i naprędce wzniesionych domków drewnianych, od których odbijały okazałością swą głównie tylko dwa większe gmachy: ratusz trybunalski i jezuicka kolegiata. Dawniejsze pałace i gmachy, niegdyś mieszkania magnatów, jak nap. Radziwiłłów, Sapiechów, Sanguszków, rozsypywały się w gruzy, klasztory, choć ich miasto wiele w murach swych posiadało, były w ruinie lub opuszczeniu, a sam rynek, główny i najokazalszy zazwyczaj punkt każdego miasta, w niemniej oplakany był stanie.

Na wszystkich czterech połaciach rynku szczyły się pustkowia, a z wyjątkiem kilku kamienic, mało który dom był zamieszkały. Gdziekolwiek zwróciło się oko, wszędzie spotykało smutne piętno najazdów, pożogi, rozpaczliwego nieładu, ubóstwa i upadku.

Miasto wyglądało, jak gdyby wyludnione. Na rynku i na ulicach było pusto i głucho, na targowicach zalegała cisza, tylko dzielnica żydowska, ciągnąca się od Tatar i od spalonego zamku, bardziej ożywiony nastęrczała widok. Dzięki bowiem wyłącznym przymiotom swego charakteru, tylko Żydzi w czasach owych burzliwych zdołali jako tako utrzymać się przy warunkach znośniejszego bytu.

Obojętni na wypadki wojenne i polityczne, o ile te nie dotykały ich w bezpośrednio osobistych sprawach, bez tego obywatelskiego uczucia solidarności z nieszczęsnym krajem, które resztę ludności robiło igrzyskiem najrozmaitszych wzruszeń: trwogi i otuchy, nadziei i zwątpienia, przelotnych uniesień zapału i tem okropniejszej potem rozpacz, zawsze trzymający z mocniejszym, zawsze sprytni i przebiegli, oni jedni i tym razem nadawali odrobiny ruchu fizyonomii miasta.

Z ludności bowiem polskiej, kto mógł tylko, schronił się w zaciszniejsze miejsce; z goszczącej niegdyś tłumnie szlachty nie było prawie nikogo, a mieszczenie, ukryci w swych domach, wyrzuceni z toku zwykłych zatrudnień, oczekiwali z głuchą,

rozpaczliwą rezygnacją, co im przyniesie niepewne jutro.

Niedawno jeszcze jutro to zdawało się uśmiechać obietnicą szczęśliwego losu. Powstanie narodowe, wzrastająca szybko potęga jego, pierwsze zwycięstwa, odniesione przez wojska polskie nad Rosyanami, przejmowały radosną otuchą patryotyczne umysły.

W Lublinie tem większy był powód do uniesień i nadziei, ile że miasto to miało sposobność doświadczenia pierwszych faktycznych skutków pomyślniej zmiany sytuacji. Po rozpoczęciu wojny, było miasto to siedzibą osobnej Komisji, związanej przez Kościuszkę celem popierania powstania. Ledwie jednak odżyło miasto ruchem patryotycznym, ledwie po uroczystej inauguracji dzieła na rynku lubelskim wzięto się do czynności, gdy pod mury miasta przybywać zaczęły garstki żołnierzy polskich, niosąc z sobą smutną wieść o bitwie pod Szczekocinami.

Komisya Lubelska opuścić musiała miasto, a wraz z nią kto mógł, uchodził w bezpieczniejsze strony.

Zamiast zwycięskich hufców narodowych, wkroczyli do Lublina Rosyanie. Po Rosyanach przyszli Austriacy.

Jenerał austriacki, Majenszerm, stanął załogą w Lublinie z swym kilkotysięcznym korpusem. Okupacja miasta przez cudzoziemskie wojsko przytłumiła ciężką zmorą umysły mieszkańców. Odcięci od pola walki, od ruchu patryotycznego, nie mieli żadnych wiadomości od swoich. Aż nagle jakiś tajem-

nie przemykający się kuryer z obozu polskiego poruszył miasto całe kilku wieściami, które zostawił.

— Król pruski odstąpił od Warszawy!

— Wojska rosyjskie cofają się!

— Górą nasi! Kościuszko ma już w ręku zwycięstwo!

Takie i jeszcze radośniejsze wieści gruchnęły po Lublinie, a podawane z ust do ust w tajemniczy sposób, zelektryzowały na nowo uciśnionych i zrozpaczonych mieszkańców.

Wstąpiła na nowo otucha w umysły, i na pustych dotąd ulicach gromadziły się małe grona, które jakoś śmielej i pewniej spoglądały na austriackich żołnierzy. Mało kto wątpił w pomyślny obrót rzeczy, a już i najnieufniejsi poczęli jaśniej patrzeć w przyszłość, gdy naraz dał się postrzedz ruch jakiś niezwykły w garnizonie austriackim i magistrat dostał nakaz dostarczenia podwód.

— Wynoszą się, uciekają! Krzyżyk na drogę! — wołano sobie z ukontentowaniem.

Istotnie też pewnego poranku zebrał się korpus austriacki na rynku, ściągnął wartę z odwachu i uszykował się do marszu. Co tylko żyło wtedy w Lublinie, wyroiło się na rynek i ulice, aby się przypatrzeć rejteradzie.

Jenerał Majenszerm dosiadł konia, rzucił szydercze spojrzenie na publiczność i kłaniając się zlekka urzędnikom magistratu, uśmiechnął się ironicznie i rzekł po niemiecku:

— *Auf Wiedersehen!*

Odpowiedziano na takie pożegnanie szmerem niebardzo pochlebnych komplementów, albo nawet głośnym okrzykiem, podobnym bardzo do słów: „Fora z dwora czarapaty!“ — ale szczęściem odezwały się bębny, zaświstały faifry i korpus wymaszerował drogą ku Zamościowi. Jenerał Majenszerm kłaniał się ciągle po drodze bardzo grzecznie i ciągle powtarzał swoje:

— Do widzenia!

Ledwie ułożył się kurz po Austryakach, a życie i ruch zapanowały w Lublinie. Niebawem nadbiegły wieści z obozu, pojawili się oficerowie polscy, a wkrótce zjechała do miasta napowrót Komisya Lubelska. Co chwila nadchodziły pomyślne wieści, które chwymano z gorączkowym uniesieniem.

— Nasi zwyciężyli! Moskwa w popłochu!

— Dąbrowski pogromił Szekelego!

— Łabiszyn wzięty!

Wśród takiego nastroju serc i umysłów upłynął czas jakiś. Potem zabrakło nowych wieści. Była chwila ciszy, jakby przed burzą i dochodziły tylko pogłoski, że Naczelnik gotuje się do wielkiej, stanowczej bitwy.

Wówczas to łowiono posłuchy, polowano na wieści, nagabywano przejeżdżających, nacierano gorączkowo na obecnych członków Komisji. Ale najbardziej może odznaczał się tą szlachetną ciekawością starzec pewien, znany tylko z postaci w mieście, który mimo zgrzybiałego już wieku i kalectwa, od czasu ustąpienia Austryaków, cały dzień

był na nogach, cały dzień na czatach, aby uchwycić jaką wieść pomyślną z pola walki.

Była to snąć jedyna jego pociecha, jedyna rozkosz dni samotnie spędzanych. Liczyć mógł lat z górą siedmdziesiąt, ale twarz jego mimo to zachowała szlachetne rysy i pociągający urokiem męskiej sędziwości wyraz twarzy. Lica jego okryte były bliznami, a noga jedna, pogruchotana kulą armatnią, wisiała mu bezwładnie, tak, że musiał używać kuli.

Wiedziano o nim tylko, że był to jeden z najwierniejszych żołnierzy Konfederacyi Barskiej, jeden z nieodłącznych towarzyszy obu Pułaskich, ojca i syna Kazimierza. Od kilku lat mieszkał w Lublinie, gdzie na Korcach, za pojezuickimi gmachami, nabył był dom opustoszały jednopiętrowy, w którym kazał sobie wyrestaurować pokój i salę na dole, zostawiając resztę w dawnym opustoszeniu. Nie żył z nikim i dopiero publiczne, gorączkowe życie ostatnich czasów zbliżyło go do świata; nikt się też i nim nie zajmował w porze, kiedy wypadki dostarczały tyle innych przedmiotów do zajęcia.

Pewnego jasnego, suchego dnia, osoby, które wyszły za miasto, usłyszały słabe echa dalekich detonacyi. Między osobami temi znajdował się także i ów stary, okaleczały w boju szlachcic-konfederat.

— Biją się! — zawołał i wyteżył słuch.

W powietrzu dały się czuć znowu lekkie drżenia, z towarzyszeniem głuchego, niknącego echa...

— To działa grają! — zawołał starzec i oczy mu się roziskrzyły na mowo młodzieńczym zapałem...

Odrzucił kulę, na której się opierał i chyżo położył się na ziemię, przykładając do niej ucho.

Za przykładem jego rzuciło się całe grono na ziemię i słuchało.

Ziemia jakby drżała zlekka, a echa wyraźniej czuć się dawały...

Stary konfederat leżał ciągle, z skronią przyciśniętą ku ziemi, z wyteżoną twarzą, z rozwartemi szeroko i błyszczącemi oczyma.

Leżał nieruchomo, a serce biło mu gwałtownie, jakby szło w takt z echem dalekich wystrzałów. Pytali go towarzysze, czy słyhać jeszcze ciąge działa, ale starzec nie odpowiadał... Zdawało się, że zmarł zupełnie. Ktoś poruszył go ręką, potem usiłowano go podnieść, ale on padł znowu nieruchomy na ziemię...

Groza straszliwa przejęła obecnych.

Starzec ten żyć przestał...

— Apopleksya! — zawnioskowało przerażone grono.

Przyczyna prosta i naturalna.

Ale nikt nie wiedział, że owe echo głuche zwiastowało bitwę pod Maciejowicami, że to od strzałów na tem pobojuwisku drżała ziemia...

Kto wie, co tam słyshał stary barski rycerz i od czego skonał nagle?...

Kto wie, co mu mówiło echo, niesione przez błonia... i jakim jękiem tętniła wówczas ojczysta ziemia?...

Kto wie, czyli wieszczem przecuciem nie odgadł ów starzec, że to echo, to ostatnie uderzenie serca jego Ojczyzny...

Może Bóg chciał mu dać najwznioślejszą nagrodę i stąd tak w akord ostatnie te strzały, z ostatnimi uderzeniami jego serca, że zamilkło wraz z wrzawą bitwy, że skonał, ani na chwilę nie przeżywając swojej Ojczyzny...

Ktoś z obecnych powrócił szybko do miasta, aby przybyć z powozem i lekarzem; niebawem też nadpędziła kolasa odkryta, a w niej siedzieli dwaj mężczyźni.

Obaj wyskoczyli szybko z kolasy i pospieszyli ku leżącemu, a jeden z nich dobył czarne pudelko i wyjąwszy z niego jakieś flakony i instrumena chirurgiczne, rzucił się do ratowania martwego starca.

Przypatrzmy się na chwilę obu tym ludziom.

Były to dwie figury, które zdawały się wyzywać najfantastyczniejszą nawet imaginację, aby coś dziwniejszego wymyśliła od nich. Calot i Breughel mogliby byli obu żywcem przenieść na swe płótno, a Amadeusz Hoffman, który właśnie w czasie, kiedy to się działo, co opisujemy, był pruskim urzędnikiem w Warszawie, mógłby ich był bez retuszu wpleść w swe szalone fantasmagorye.

Jeden z nich był to wysoki, chudy, jak skielec starzec, z twarzą w spiczasty owal ściętą, z cząszką o ostrych kątach, na których zdawała się być przyklejona żółta, jak pergamin zeschnięta skóra, z podgolonym czołem, co głowę jego czyniło jeszcze bardziej fantastyczną, z czubem siwych, jak szczecina twardych i najeżonych włosów, które, jak grzebień koguci, sterczały na ciemieniu.

Twarz tego człowieka była, jak już powiedzieliśmy, niezmiernie chuda, sterczała ostremi kośćmi i była w najdziwniejszy sposób oszpeconą. Czoło i policzki miały ogromne, czerwone blizny jakby z oparzenia, nos długi i zgarbiony zdawał się być przelamanym, bo skręcał się od lewego policzka ku prawemu, a wąs krótki, pod górę najeżony, żółtosiwy, przyczyniał się jeszcze bardziej, aby z fizjonomii tej całej zrobić jakąś dziwnie asymetryczną, napoły śmieszłą, napoły fantastyczną groteskę...

Ubrany był ten człowiek po polsku, ale strój ten nie przystawał mu do ciała; drapował się na nim, jak na skielecie. Miał na sobie stary, wypłowiały kontusz niebieskiego koloru z karmazynowemi wylotami, barwa trybunału lubelskiego, a na bandolecie, sztukowanym sznurkiem z konopi, wisiała ogromna, szeroka, w ciemny jaszczur oprawna karabela, z prostą rogową rękojeścią.

Drugi, jego towarzysz, ten, który usiłował przywieść do życia skostniałego już szlachcica, ubrany był po niemiecku, całkiem czarno, z fantastyczną wi-

docznie pretensją. Twarz miał dużą, gładko ogoloną, o rysach niepospolitej szpetności, uderzającej dziwną amorfiją. Nos i wargi jego były podobne do tych, z jakimi zwykle malują Ezopa, cera była gąbczasta, płowa, z gęstą czerwonymi wyrzutami, jakby goździami, nabita.

Oczy były małe, niezmiernie bystre i świetliste, z szerokimi pupilami, wpadające z piwnego koloru w zielonawy. Migotały one, jak dwie przyskające iskry, a pokutował w nich, obok inteligencji, jakiś dziwny, powiedzielibyśmy mistyczny wyraz, który i pociągał i odpychał zarazem, jak wszystko, co jest zagadką.

Głowa tego człowieka okryta była olbrzymią, źle upudrowaną peruką, która sphywała zawijanemi i gęstemi lokami do pół grzbietu i poniżej ramion prawie, na jej czubie siedział trójgraniasty, czarny kapelusz.

Nadto był ten człowieczek niski, gruby i ułomny, oprócz bowiem garbu na plecach, miał nogi krótkie, grube i mocno niekształtne, w rodzaj kabłąka wygięte. I tak już oryginalną i dziwną tę figurę czynił jeszcze osobliwszą strój niemiecki, zastarzały, według odwiecznej skrojony mody. Do wspomnianej już olbrzymiej, kudłatej peruki, jakby się dobrały obcisłe czarno-szklące szarawarki, takiejże barwy pończochy, z ogromnemi sprzączkami stalowemi i czarny frak z długimi połami.

Oryginalność tego ubioru uwydatniały w fan-

tastyczny sposób dodatki, jak nap. kłębiaste żaboty i kryza, cudackie breloki, blaszki i trzęsidła z brylantowej stali, zwieszające się od kieszeni, a już najbardziej guziki przy fraku. Guziki te były niesłychanej wielkości, wypukłe, jak zegarki i jak zegarki szybką szklą okryte. Pod temi szklanemi szybkami zaś, na tle z czarnego rogu, znajdowały się żabki, chrząszcze, salamandry i trupie czaszki, wyrobione z słoniowej kości.

Tak dziwnie ubrany Niemczyk, który zdawał się być lekarzem, ukląkł przy chorym, otworzył mu żyłę, z której jednakże już krew płynąć nie chciała, przykładał mu do nosa rozmaite flakony z ostrym zapachem, nacierał skronie i t. p. Jego towarzysz, ubrany w kontusz trybunalskiej barwy, stał z boku pochylony nisko ku ziemi, jak gdyby chciał lepiej przypatrywać się trzeźwieniu, a twarz jego, zeschnięta i oszpecona, wykrzywiła się jakimś dziwnym grymasem, o którym jednak w żaden sposób powiedzieć nie było można, co miał wyrażać: czy ciekawość, czy zdziwienie, czy przestрах lub współzucie.

Kilka minut trwało trzeźwienie, przy ciekawym udziale obecnych, ale gdy nic nie skutkowało, Niemiec w peruce raz jeszcze obmacał pulsa zastygłego starca, a potem, robiąc gest stanowczy ręką, powstał i z flegmą zamykał swe pudełko.

Towarzysz jego domyślił się zapewne znaczenia tego gestu, bo kiwnął głową smutno i popatrzył

raz jeszcze na Niemca, a potem jakby wyczytawszy w twarzy jego ostateczne potwierdzenie domysłu, wziął ciało starca na ręce i poniósł do czekającej kolasy. Niemczyk, który już w niej siedział, usunął się na bok, pomógł ułożyć trupa, a gdy usiadł i mężczyzna w kontuszu, ruszyły konie i popędziły ku miastu.

Na Korcach, przed opustoszałym domem, zatrzymała się kolasa, a obaj mężczyźni, zabrawszy z kolasy zwłoki, zniknęli z niemi w kamienicy, której bramę silnie zatrzęsnięto.

II

Na rynku lubelskim.

Pan generał Majenszerm żegnał się przy wymarszu z Lublina z burmistrzem słowami: „do widzenia“, i — dotrzymał też słowa...

Zaledwie dwa dni minęło od owej sceny nadśluchiwania dalekich strzałów, gdy nadbiegła okropna wieść o klęsce maciejowickiej.

Jeszcze nie miano w Lublinie żadnych wieści o katastrofie, jeszcze nie można było powziąć jasnego wyobrażenia o całym ogromie strasznej klęski, gdy z wież i dymników miasta, które służąc za punkt obserwacyjny mieszkańcom w tych dniach trwogi i niepewności, obsadzone były zawsze ciekawymi, pokazał się zdala długi łańcuch wojska, nadciągającego spiesznie.

Gdy się już zbliżało pod Tatary i Krępiec, można było dojrzeć, że to cały liczny korpus, postępujący w porządnym, wojennym szyku. Z początku nie domyślano się, co to za wojsko.

— Może to nasi? — przypuszczano w sercu — może uratował się jaki cały oddział, cały korpus?

Tymczasem wojsko zbliżało się coraz bardziej i naraz wpadła przednia straż do miasta.

Byli to Austriacy. Poznano ich po mundurach, poznanoby nawet po twarzach. Jechało bowiem naprzód kilkunastu huzarów w czerwonych dołmanach, z krzywymi szablami, a na ich czele ten sam siwy, czerwony na twarzy, jak rak, wąsaty i pokiereszowany wachmistrz, który niedawno jeden z ostatnich opuszczał Lublin.

Siedział on niedbale na koniu i spoglądał na miasto i widzów, jak na starych znajomych, a kiwając głową zlekka, całą służbistą swą fizyognomią i obojętnym wzrokiem zdawał się upewniać wszystkich wobec i każdego z osobna, że jak nie wiedział, dlaczego stąd niedawno wyjechał, tak też nie wie, dlaczego powraca.

Wiedział o tem chyba rotmistrz, co z tyłu zdążył z szwadronem, pan generał Majenszerm i „węgierski Pan Bóg“ pocziwego huzara.

Za drobnym oddziałem huzarów, jechał cały ich szwadron, za huzarami przeciągała piechota w białych kurtkach, w czerwonych, wysokich kamaszach i w śpiczastych kaskach bez daszka; za nią jechał sztab, z generałem Majenszermem w środku.

Dotychczas nic w tem nie było ciekawego dla widzów. W owych czasach widok obcych wojsk nie był osobliwością. Rosyanie, Prusacy, Austriacy gospodarowali po kraju, jak u siebie, a zresztą oddział pana generała Majenszermma znany już był w Lublinie.

Ale daleko ciekawszy i niestety, daleko boleśniejszy miał nastąpić widok... Za piechotą nadciągnęła komnica, a byli to dragoni. Nie jechali śnać sami, bo pomiędzy białymi ich płaszczami czerniały ciemne burki, a z pośród hełmów wystrzelały do góry kity od kołpaków. Dragoni trzymali w ręku duże pistolety w pogotowiu, a szable obnażone zwieszały się na temblakach.

Pośród nich, bezbronni i widocznie eskortowani, szli lub jechali konno jacyś ludzie w strojach uniformowych, niedobranym i rozmaitej barwy. Byli to oczywiście jeńcy, a dość było rzucić spojrzenie na ubiór ich, aby poznać, że byli to Polacy.

Istotnie Austriacy wiedli z sobą rozbitków z maciejowickiej bitwy. Po zadanej polskiemu wojsku klęsce, wiele drobnych i większych oddziałów polskich albo przekraczało granicę austriacką, szukając schronienia na neutralnym napozór terytorium, albo też, ratując się przed ścigającymi je Rosyanami, poddawało się pierwszej lepszej komendzie wojsk austriackich, posuwanych wówczas naprzód, ku Lublinowi.

I owa garstka, prowadzona przez Austriaków, doznała podobnego losu.

Rozbrojeni, zmęczeni walką i doznany w obozie niedostatkiem, smutnie wyglądali nasi jeńcy. Wiele z nich było rannych, niektórzy upadali prawie od bezsenności i znużenia, a wszyscy na wybladłych twarzach mieli piętno smutku lub głuchej, rozpaczliwej rezygnacji... W widoku tych nieszczęsnych roz-

bitków wyczytać można było niejako całą katastrofę, która zakończyła krwawy narodowy dramat.

Patrzyli oni zapewne obojętnie już w przyszłość i nie obawiali się dalszych igrzysk losu, którego tyle ciosów okrutnych doznali, a przecież zgotowaną była dla nich niespodzianka, która serca ich raz jeszcze poruszyć miała oburzeniem, gniewem i najdotkliwszem dla żołnierza uczuciem upokorzenia.

Ludność miasta, poruszona wieścią, że Austriacy prowadzą z sobą rozbitków polskich, opuściła domy i zbiegła się na rynek, aby ich oglądać. Niebawem też zatrzymał się oddział austriacki i szykować się począł.

Mieszkańcy ustawili się wzdłuż połaci rynku, a z okien kamienic wychylali się także ciekawie. Wszystkich oczy zwrócone były na garstkę nieszczęśliwych rodaków, których ustawiono pod eskortą w środku całego korpusu.

Główna część Austriaków stanęła przed trybunalskim ratuszem. Gmach ten, który staraniem Stanisława Augusta przybrał był okazalszą postać, przecięty był na wylot sklepieniem i brukowanym przechoodem. Po lewej jego stronie znajdowały się odwach i kordegarda trybunalskiej niegdyś straży, którą odbywał dawniej pułk Czapskiego.

Wojsko austriackie zaczęło od obsadzenia tego odwachu. Po krótkim przeglądzie, który nad wojskiem odbył generał Majenszerm, odmaszerował od głównego korpusu silny oddział piechoty i wśród

odgłosu bębnow i fajfrów, zajął z formalnościami wojskowemi odwach. Wśród honorów, oddawanych przez całe wojsko, złożono tam także chorągwie, a zaraz też po odbytej krótkiej konferencji sztabu i kwatermistrzów z kilku zakłopotanymi urzędnikami miejskimi, pojedyncze oddziały wojska rozchodzić się poczęły po rozmaitych częściach miasta, w którym naprędce miano im obmyśleć umieszczenie.

Niebawem też zniknął z rynku generał Majenszerm ze swym sztabem, zajmując dla siebie pobliską kamienicę Nossadynich. Został tylko na rynku duży oddział dragonów, ten sam właśnie, który miał pod swoją eskortą rozbitków polskich.

Tłum ludu zgromadzonego nie rozszedł się, czekając, co się dalej stanie z jeńcami. Wkrótce też rozległ się odgłos komendy niemieckiej i cały oddział piechoty wystąpił pod broń na odwachu. Równocześnie pojawił się przed frontem komendant dragonów i wydał jakiś rozkaz jednemu z podwładnych mu oficerów.

Na rozkaz ten rozsunął się szereg konnicy, a garstka jeńców polskich wystąpiła naprzód. Niektórzy z nich byli na koniach. Zbliżył się do nich jakiś wachmistrz i łamanym żargonem, z czeska po polsku, kazał im zsiąść i stanąć razem w szeregu z pieszymi.

Gdy rozkaz ten spełnionym został, rozpoczęła się upokarzająca scena.

Między zgromadzonymi na rynku mieszkań-

cami Lublina rozległ się szmer głuchy. Z ściśnionem sercem i z bolesnem współczuciem spoglądano na bezbronnych rodaków. Mimo smutnego wrażenia widoku, nie przeczuwano może przecież, jak sromotny akt odegra się wkrótce publicznie...

Jakkolwiek rząd austriacki z wszystkich rządów rozbiorowych najwięcej miał sympatyj u Polaków i jakkolwiek najwyższe jego organa miały póniekąd i chęć częściowego choćby usprawiedliwienia tej sympatyj, przecież zdarzały się przy inauguracyach nowej władzy austriackiej zajścia i sceny, które oburzeniem przepelniać musiały serca polskie.

Jeżeli dopuszczali się niegodnych nadużyć urzędnicy cywilni i może nawet, wbrew woli rządu samego, na najboleśniejże próby narażali uczucie godności narodowej, to w wyższym jeszcze stopniu czyniły to wojskowe władze.

Wśród zamętu wypadków wojennych, działanie wojskowych komendantów nie mogło być ujęte ściśle instrukcjami na każdy wypadek, a posiadanie absolutnej władzy oręża prowadziło niektóre indywidualna do aktów żołnierskiej srogości i oburzającej samowoli.

Jest to faktem stwierdzonym przez dokumenta i zeznania świadków naocznych, że po klęsce maciejowickiej, dowódcy austriackich oddziałów, z którymi przecież nie walczyły wojska polskie, a które nie wojenną, ale raczej neutralną i interwencyjną miały odgrywać rolę, dopuszczali się nieraz aktów niczem nieusprawiedliwionej srogości.

Jeżeli nawet główny dowódca kierował się bardziej ludzkimi i sprawiedliwsiemi pojęciami, to znalazł się zawsze jakiś podwładny komendant, który nie wahał się obrażać ciężko uczucie zwyciężonych, a nieraz pierwszy lepszy oficer, nadużywając chwilowo danej mu władzy, puszczał wodze wrodzonemu żołdackiemu brutalstwu i z własnej fantazyj, na własną rękę, posuwał się do niegodnych gwałtów i nadużyć.

Ofiarami takich nadużyć bywali głównie żołnierze z armii kościuszkowskiej, którzy idąc w rozsypkę i ratując się przed ścigającymi ich Rosyanami, szukali opieki u posuwających się w głąb kraju austriackich oddziałów.

Pamiętniki społeczne przekazały nam wiele takich nieludzkich postępów i aktów żołnierskiej samowoli, a jedną z najpierwszych ich widowni miał być rynek lubelski w chwili naszego opowiadania.

Do ustawionych w rząd jeńców polskich zbliżył się komendant dragonów, oficer sztabowy. Zsiadł z konia i oddając go jednemu z swych żołnierzy, stanął przed garstką rozbitków i zmierzył ich ponurem, srogiem spojrzeniem.

Garstka jeńców tych złożona była z rozbitków najrozmaitszej broni. Byli tam żołnierze z pułków regularnych i ochotnicy z zebranej naprędce ruchawki.

Od uniformu żołnierzy autoramentowych odbijały tu i owdzie wołoszki ciemne lub fantazyjne kurtki ochotników szlacheckiego pochodzenia, mię-

dzy któremi bielilo się kilka głów siwych; dwóch włościan, w zwykłych sielskich sukmanach, stało obok t. zw. „ułańów królewskich“; kilku zagrodowej szlachty, w domowych żupanach i rogatych czapkach, zabrało miejsce obok kilkunastu milicyantów brzeskich.

Między jeńcami znajdowało się także kilku oficerów z brygady Kopia i z pułków Mirowskiego i Lubomirskiego.

Komendant dragonów, major, patrzył chwilę na ustawionych jeńców, jakby ich chciał policzyć. Wzrok jego przebiegł po ich twarzach szybko i obojętnie, ale gdy się zatrzymał na ostatnim jeńcu, który zamykał szereg, zdawało się, jakoby zapłonął gwałtownie.

Postać austriackiego majora uderzała niemile i w wstrętny prawie sposób. Był to mężczyzna nie-pierwszej młodości, ale zawsze w pełnej sile wieku. Wysokiego wzrostu, niezmiernie silnej budowy ciała, barczysty i z wypukłemi piersiami, zdawał się być typem brutalnej, żołdackiej postaci.

Twarz jego była owego jednostajnego, różowego koloru, który stanowi właściwą cerę blondynów, uderzała ostro markowaną i kościstą, choć dość pełną formą i ponurym, dzikim prawie wyrazem szorstkich rysów. Gdy ciężki swój hełm odsunął w tył nieco, widać było wysokie, mocno wypukłe czoło, które odbijało białością swą od cery reszty twarzy; pod czołem tem rysowały się w cienkim łuku rzadkie i jasnowłose brwi; oczy duże, wypukłe, omglone,

były jasno-sine i zdawały się pod szklaną swą powłoką tlić ogniem jakimś dzikim i namiętym. Pod dużym, nieco zakrzywionym nosem widać się wąs długi, daleko jaśniejszy od włosów, jaśniejszy od lnu, biały prawie całkiem. Wąs ten, który zdaleka wydać się mógł posiwiąłym, nadawał jasnością swą i formą szczególny, charakterystyczny wyraz całej twarzy majora.

Otóż major ten zatrzymał, jak powiedzieliśmy, wzrok swój na jednym z rozbitków, który zamykał szereg swych towarzyszków. Był to młody człowiek w uniformie oficerskim, po którym można było poznać, że należał do pułku Mirowskiego.

Słusznego wzrostu, kształtnej i smukłej, lecz silnej budowy ciała, młody oficer polski liczyć mógł lat dwadzieścia cztery. Twarz jego była szlachetnie zarysowana i uderzała wyrazem śmiałym i męskim. Cera jej była mocno śniada, ogorzała; nos orli i czoło otwarte nadawały jej pewnego rysu wrodzonej dumy; z czarnych, gorejących płomieniem życia i młodości oczów, wyglądała dusza, jak to mówiono, „rogata“, a całość fizyognomii uderzała marszem i energią, które łagodził nieco wyraz ust pełnych, czerstwych i rumianych, wyraz zarówno zmysłowy, jak poczciwy.

Spojrzenia jeńca i majora spotkały się z sobą.

Twarz majora pociemniała rumieńcem, a oczy jego siwe zamigotały żywym odbłyskiem. Usta jego zadrżały jakby ruchem jakiegoś zaczętego a nie-

dopowiedzianego słowa, a twarz cała przybrała wyraz złośliwego ukontentowania...

Jeniec polski na spojrzenie majora odpowiedział wzrokiem silnym, bystrym, przeciągłym.

Z wzroku jego bił cały płomień odwagi i oburzenia. Twarz mu sposepniała wyrazem gniewu, okryła się groźnym marsem, rumiane usta zbladły i ścisnęły się, jakby od tłumionego uniesienia.

Trwało to kilka sekund.

Major odwrócił wzrok pierwszy i cofnąwszy się krok w tył, zajął miejsce przed samym środkiem ustawionego z rozbitków frontu. Potem skinął na jednego z oficerów swoich, a ten zbliżył się zaraz w towarzystwie wachmistrza. Wachmistrz wydobyl ogromny, czerwony pugilares zapiskowy, wziął do rąk ołówek i wyprężywszy się, jak struna, czekał, co mu dalej rozkażą.

Major raz jeszcze spojrział na gromadkę jeńców, a potem, przybierając minę srogą i groźną, odezwał się donośnym głosem:

— Słuchać i uważać!

Słowa te wymówił major najczystszy polskim akcentem, tak, iż można było wnosić z pewnością, że musi być rodowitym Polakiem.

To polskie przemówienie wywołało trochę zdziwienia w rozbitkach, a na twarz ich wystąpił wyraz ciekawego zajęcia; jeden tylko młody oficer z pułku Mirowskiego, ów, który się przed chwilą spojrzeniem mierzył z majorem, pozostał z tym sa-

mym marsem na obliczu i tym samym groźnym gniewem w czarnem, namiętne oku.

— Słuchać i uważać! — odezwał się major. — Dość już zabawki, czasy burd minęły, kolej teraz nauczyć się rozumu i porządku! Zdaliście się na łaskę lub niełaskę, oznajmiam wam tedy, że wołą jest komendanta, ażebyście wstąpili w szeregi żołnierzy jego korpusu. Rozumiecie?

Cisza zapanowała po tych słowach.

— Od tej chwili jesteście cesarskimi żołnierzami — mówił major dalej — resztę powiedzą wam kaprale.

W szeregu jeńców ozwał się najpierw szmer cichy, a potem powstała istna burza wykrzyków.

— Co to jest? — zawołał major — milczeć!

— Nie chcemy służby! — odzywały się głosy.

— Nikt się nie pyta o to. Musicie!

— Nie będziemy służyć! — zawołano.

— Kto nie będzie? — krzyknął major.

— My...

— Kto to „my“?

— Wszyscy...

Major zaśmiał się szyderczo.

— Zobaczymy, kto do tych wszystkich należy... Po jednemu się pytać będziemy, po jednemu.

I odwróciwszy się do wachmistrza, dał mu krótką informację po niemiecku. Wachmistrz znikł, a za chwilę przybyło z odwachu kilku żołnierzy. Każdy z nich dźwigał pod pachą pęk kijów...

Równocześnie zrzucano z fury bagażowej całą

pakę starych kurt żołnierskich, zapasowych kamaszów i furazerek.

Jeńcy i zgromadzony na rynku tłum mieszkańców lubelskich przypatrywali się tym przygotowaniaom z wyteżoną, ponurą uwagą.

Major przystąpił do pierwszego z rozbitków polskich, który stał na końcu szeregu, i zawołał stanowczym, surowym głosem:

— Jak się nazywasz?

— Krzysztof Kotwicz—odpowiedział zapytany.

Był to młody człowiek, podoficer z pułku Lubomirskiego.

— Krzysztof Kotwicz — powtórzył major, dając znak wachmistrzowi, aby zapisał nazwisko — pójdziesz pod muszkiet... *Rechtsum*, ruszaj!

Zagadnięty stał na miejscu nieruchomo... Spojrzał tylko po twarzach swych towarzyszy, jakby w oczach ich chciał wyczytać radę.

— Ruszaj, powiadam! — wrzasnął już teraz z całą furją major i srogiem spojrzeniem zmierzył opierającego się. — Patrzaj ty, „mospan Polak“ — dodał z szyderczym uśmiechem — wolno ci wybierać, jaką drogą masz zostać żołnierzem... Albo dobrowolnie, bez hałasu... albo...

I wskazał dłonią na żołnierzy, stojących opodal z pękami kijów.

W szeregu jeńców powstał szmer głuchy, stłumiony, ale wymowny, bo kipiało w nim oburzenie...

Major nie zważał, na to, ale dał znak kilku żołnierzom, którzy przystąpili natychmiast.

— Na bok z mim! — zawołał i owa pierwsza ofiara gwałtu i samowoli oficera znikła po krótkim, daremnym oporze pośród żołnierzy.

Biedak szamotał się i krzyczał jeszcze po drodze, lecz kolby karabinowe zamknęły mu usta i przełamały daremny opór.

Podczas gdy się ta oburzająca odgrywała scena, ów młody oficer polski, którego opisywaliśmy powyżej, a którego tak mierzył wzrokiem swym major, drżał cały od gniewu i wzruszenia. Twarz jego oblała się najpierw ponsem, potem okryła się ową bladością, która u namiętnych ludzi bywa znamieniem najwyższego rozdrażnienia; oczy zapalały gniewem i zwróciły się z niewypowiedzianą pogardą na majora.

Małą chwilę stał tak młody oficer i widocznym było, że się wahał, ale nagle zrobił ruch stanowczy i wystąpiwszy szybkim, śmiałym krokiem z szeregu, stanął przed majorem.

Major, jakby się uląkł tego niespodziewanego ruchu młodego jeńca, cofnął się o krok w tył. Twarz jego pokryła się ciemniejszym rumieńcem, który tembardziej odbijał od jasnych, białych prawie wąsów i włosów. Prawą rękę położył na rękojeści szabli, lewą podał naprzód, jakby się nią chciał zasłonić.

Młody oficer stanął tuż przed majorem i utkwivszy w niego swój wzrok płomienny, zapy-

tał silnym, choć nieco drżącym od wzburzenia głosem:

— Panie, co znaczy ten gwałt?

Major, który nie ochłonął był jeszcze z swego dziwnego pomieszania, nie odpowiedział zaraz, jakby mu słów zabrakło, aż wreszcie zawołał:

— Do szeregu i milczeć! Przyjdzie kolej i na aspana, marsz!

— Przyjdzie kolej i na ciebie! — zawołał jeńiec gwałtownie, przestając już być panem siebie.

Major wznosił groźnie rękę, lecz spuścił ją na powrót, trzymany na uwężni roziskrzonym i straszonym wzrokiem młodziana.

— To, coś uczynił, co uczynić zamysłasz, jest podłym gwałtem! Jesteśmy bezbronnymi jeńcami, jesteśmy żołnierzami armii, która z cesarzem twoim nie walczyła, a której nieszcześnie uszanować winiście!

Major, który w miarę, jak postawa i głos młodego jeńca nabierały przenikającej wymowy i grozy, coraz bardziej zdawał się być zmieszany, próbował się uśmiechnąć.

— Kto ci pozwolił pastwić się nad rozbitkami, których chroni przed każdym honorowym żołnierzem — bezbrówność ich... Żołdak bez czci, a nie oficer, kto nie szanuje tego prawa!

— Zuchwalcze, czy wiesz do kogo mówisz? — zawołał major.

— Wiem dobrze: mówię do oficera, któremu,

gdybym był jego wodzem, kazałbym zerwać te szlify przez oprawcę na znak infamii!

Twarz majora okryła się ciemnym ponsem, oczy siwe zaszyły mu krwią formalnie.

— Odpowiesz mi za to!

— Odpowiem ci zaraz, odpowiem ci, że się nie lękam twej wściekłości, że szydę z twego gniewu, panie majorze! Ale co ty mi odpowiesz, gdy ci powiem śmiało, że znam ciebie i twą podłość, mości Szczepanie Rozworski, majorze wojsk cesarskich!

— Znasz mnie — odpowiedział stłumionym od wściekłości głosem major — postaram się, abyś mnie poznał jeszcze lepiej...

— Znam cię nawyloc, nikczemniku! — zawołał młody jeńiec, uniesiony szalem zapomnienia. — Cokolwiek już uczynisz, nie będzie dla mnie niespodzianką!

— Zobaczmy! — odparł niezrozumiale prawie major, który bez skutku usiłował zamaskować wściekłość swą i pomieszanie. — Zobaczmy, znajde niespodziankę i dla ciebie, młokosie! Szukałem cię długo i znalazłem przecie.

— Szukałeś mnie! — powtórzył jeńiec z naciśnięciem szyderstwa, które dziwnie odbijało od uniesienia. — Ty mnie szukałeś i znaleźć nie mogłeś! Podły! Ileż to razy mogłeś mi stanąć oko w oko, pierś przeciw piersi! Znalazłeś mnie teraz dopiero, bo nie szukałeś przeciwnika, ale szukałeś ofiary bezbronnej... Patrz, oto stoi przed tobą, mości majorze, odana ci na łaskę i nielaskę, wygodny przedmiot do

pastwienia się, a przecież nie boi się ciebie, a przecież urąga ci wzgardą, a jeżeli kto z nas drży i drugiemu w oczy spojrzeć nie śmie, to ty nim jesteś, panie Szczepanie Rozworski!

Wyrzekłszy te słowa tonem szybkim, gwałtownym, w którym zda się wrzała cała burza namiętności i gniewu, młody jeniec wznosił czoło swe pięknie dumnie w górę i utkwiał palające oczy w majora...

Spojrzenie jego było nieustraszone, wyzywające...

Zdawało się, że siła tego spojrzenia odebrała przytomność i wszelką swobodę majorowi; że skrepowała mu usta i do ziemi go przykuła...

Stał milczący i bezradny, jakby ochłonać nie mógł z doznanej wrażeń...

A przecież stał przed nim tylko jeniec bezbronny, oddany jego władzy, pozbawiony wszelkich środków obrony lub odwetu... Major miał za sobą żołnierzy swoich, gotowych w każdej chwili na skinienie jedno rzucić się na zuchwałego młodzieńca i roznieść go na ostrzach swych bagnatów.

Do takiego rozkazu wystarczało jedno słowo, jeden gest przelotny... A przecież nie mógł, czy nie chciał zdobyć się na to major. Chęci nie brakło zapewne, bo widzieliśmy ów wyraz nienawiści głębokiej, który strzelił z siwych oczu majora zaraz na pierwszy widok młodego jeńca, — zabrakło siły i odwagi...

Odwaga szalona, posunięta do najwyższego

stopnia, nie licząca się z niczem, urągająca sile, miała zawsze olbrzymi urok...

W wybuchu takiej odwagi leży jakaś dziwna a potężna siła, która czyni na chwilę strasznym najsilniejszego nawet przeciwnika, która silniejszemu odbiera poczucie jego przemocy, trzyma na uwięzi okrucieństwo i podłość nawet.

Ten urok podobnej odwagi jest tem potężniejszy, jeżeli popiera ją moralnie rzecz, która ją wywołała, jeżeli staje w obronie prawa, odpiera nikczemne zamachy, lub jeżeli odzywa się groźnym protestem przeciw doznanej krzywdzie.

Tak się miało i tym razem...

Gdyby major był przebił śmiałka swą szablą lub kazał go zastrzelić jednemu z swych żołnierzy, nie naraziłby się był niezawodnie na żadną odpowiedzialność. Ale ta szalona odwaga młodego jeńca odebrała mu poczucie przemocy. Tchem swym potężnym skruszyła jego butę, jego zawziętość i okrucieństwo... Pochwyciła niejako żelazną dłonią człowieka, wyrwała mu broń z ręki, odarła szlify, wyrzuciła z pośród zbrojnego hufca i postawiła przed swym majestatem samego...

Z majora pozostał tylko człowiek, a człowiek ten zapomniał, że dość skinienia tylko, aby wieczne milczenie nakazać ustom zuchwałym — i drżał.

Gdyby ktoś w tej chwili dopiero ujrzał był obie te osoby, a zapytano go, kto jest tu ofiarą, kto skruszonym przedmiotem gniewu i przemocy, wskazałby niezawodnie na majora...

Tak przynajmniej wygadał przez dość sporą chwilę... Nagle jednak ocknął się i poruszył gwałtownie na miejscu. Twarz jego oblała się ponsem, oczy zamigotały żarem złowrogim, a usta skrzywiły się i ścięły.

Wydał z siebie okrzyk jakiś głuchy, niezrozumiały, wściekłością stłumiony i w jednej chwili zabłysła obnażona szabla w jego dłoni. Wyleciało mu z ust przekleństwo i znowu kilka słów prawie nieartykułowanych, z których zrozumieć można było tylko wyrazy:

— Giń, jak pies... krwią twoją własną zakrzutysz się, abyś umilkł, gadzino!

I podniósłszy broń w górę, nadał jej zamach do śmiertelnego cięcia...

— Nie... to niedosyć! — zawołał nagle i opuścił szablę na dół. — Wezmę ja cię na wychowanie, mój zuchwały paniczu... Skruszejesz mi pod rękami, nauczą cię kaprale skakać, jak każę, przyczolgasz się do mnie na kolanach i będziesz mi jeszcze lizał stopy...

I wyrzekłszy te słowa z wymuszonym spokojem, skinął na żołnierzy.

— Związać mu ręce! — zawołał.

Rozkaz wykonano w tej chwili. Młodzieniec stał nieruchomo i dał z sobą robić wszystko. Oczy jednak tkwiły ciągle w twarzy majora — a twarz jego nie straciła nic z swego śmiałego i dumnego wyrazu, pobladła tylko bardziej jeszcze i ostygła rezygnacją...

Gdy już miał ręce w tył skrępowane, major kazał stanąć po obu jego stronach dwom żołnierzom, a sam przystępując do niego, uchwycił za końce szlif u mundurka, szarpnął je silnie, zerwał z kołnierza i rzuciwszy je na ziemię, podeptał...

Potem zwrócił się do wachmistrza, podyktował mu do zapisków:

— August Szczytowski *Gemeiner*, okuć w dyby i wziąć pod areszt! Zamknąć go osobno aż do dalszego rozkazu...

Rzekłszy to, podniósł raz jeszcze rękę, zrzucił jeńcowi kołpaczek z głowy i zawołał:

— Nakryć mu łeb po rekrucku!

Zaraz jeden z żołnierzy przystąpił z mycką kłapiastą i nasadziwszy ją jeńcowi na głowę w brutalny sposób, zasunął mu nią oczy, potem pchnął go silnie naprzód i młody oficer polski zniknął wśród bagnetów...

Major ścigał go jakiś czas wzrokiem pełnym jadowitej mienawiści, a potem szepnął jeszcze coś do jednego z podoficerów, wskazując na więźnia. Następnie zwrócił się do reszty jeńców i kazał występować jednemu po drugim.

Z każdym odbywał się ten sam ceremoniał brutalny, co z nieszczęśliwym młodzieńcem. Oficerom zdierali kaprale szlify, wszystkim zaś nasadzono mycki, zapisywano i potracano kolbami na odwach...

Z wyjątkiem kilku, poddawali się wszyscy z rozpaczliwą rezygnacją tej operacyi, oczy tylko

pałające od oburzenia i ciskające pogardą protestowały przeciw gwałtowi, dokonywanemu na bezbronnych. Ci, co dali się porwać uniesieniu i opór stawiać usiłowali, umilkli... pod razami...

Bolesna ta scena odgrywała się publicznie, wobec tłumnie zgromadzonego ludu. Szmer oburzenia rozległ się między poruszonymi mieszkańcami Lublina, a wśród tego szmeru wylatywały z tłumu kamienie i cięższe od nich wykrzyki groźby i przekleństwa.

Major zwrócił się ku tłumowi, a gdy go stamtąd doleciały nowe oznaki oburzenia, kazał wsiąść na koń oddziałowi dragonów i rozpedzić zgromadzonych.

Na widok żołnierzy, gotujących się do szarży, począł się tłum rozbiegać i wkrótce pusto było na lubelskim rynku.

Gdziekolwiek tylko zostały małe gromadki, z kilku osób złożone i spoglądały spojrzeniem, pełnem bolesnego współczucia, na szereg jeńców, ustawionych na odwachu.

Owego młodego oficera, który był pierwszą ofiarą żołnierskiej dzikości i osobistej widocznie nieważności majora, nie było między nimi.

Gdy tym sposobem całe wdowisko, wyprawione na rynku lubelskim, zakończone zostało, major kazał odjechać swym dragonom, a sam dosiadłszy konia, rzucił raz jeszcze wzrokiem na odwach i zacierając ręce, jakby z nadzwyczajnego zadowolenia, szepnął sam do siebie:

— Doskonale, lepiej niż się tego kiedykolwiek spodziewać mogłem! Ptaszek w klatce z podciętemi skrzydłami! Nie ujdiesz mi już teraz, nie ujdiesz, mój ty zuchwały rycerzu!

I kazał się prowadzić na przeznaczoną dla siebie kwaterę.

III

U c i e c z k a.

Rozbitków polskich, zmienionych w tak niespodziewany i upokarzający sposób na rekrutów cesarskiego wojska, spędzono z odwachu do sali ciemnej i małej; za czasów trybunalskich jeszcze służyła ona za areszt wojskowy dla regimentu Czapskich, który przydanym był dawniej za straż i siłę egzekucyjną sądom polskim.

Między rozbitkami znajdowało się przypadkiem kilku z tego pułku. Odbijali oni od reszty swych towarzyszy czerwoną barwą swych mundurów i habajtlami, a najwięcej ze wszystkich okazywali zimnej krwi i rezygnacyi, może z tego powodu, że prawie każdy z nich odbywał niegdyś służbę przy trybunalskiej straży, a dziś, ujrawszy się między, ścianami dobrze sobie znanej kordegardy, czuł się poniekąd w domu. Wzięli też żołnierzy ci na siebie niejako obowiązek gospodarzy i uwijali się w swych czerwonych mundurach, jak raki, pomiędzy towarzyszami, zgartując słomę, która tu z dawniejszych czasów pozostała i przygotowując z niej posłanie dla siebie i innych.

Niebawem też znużenie po tylu trudach bojowych i po forsownym marszu z austriackiem wojskiem przemogło u jeńców bolesne wrażenia doznanej krzywdy i upokorzenia, większa ich część rzuciła się na słomę lub na gołą podłogę, zapominając o smutnej przeszłości i niepewniejszym jeszcze jutrze.

W jednym z kątów ciemnej kaźni siedział odosobiony całkiem jeńiec. Był to właśnie ów młody polski oficer, którego zajście z majorem w poprzednim opisałszy rozdziale. Gdy towarzysze jego przybyli do aresztanckiej izby, już go tam zastali. Niejeden też z nich, a mianowicie niejeden z oficerów, usiłował zbliżyć się do szlachetnego i śmiałego kolegi, aby uściskiem dłoni oddać hołd jego bohaterskiemu zachowaniu się; ale koło młodego jeńca stała osobna straż, z dwóch dragonów złożona, którzy trzymali swe ogromne pistolety napogotowiu i nie dopuszczali nikogo do więźnia.

Młodzieniec ten, którego major nazwał Augustem Szczytowskim, a którego i my odtąd zwać tak będziemy, siedział z skrępowanemi w tył ramionami, głowę pochylił ku piersi i zdawał się być głęboko zadumanym. Na bladej jego twarzy malowało się znużenie obok pomurej rezygnacyi, a tylko drżące usta i gorączkowy wzrok, jak echo minionej burzy, przypomniały ów wybuch namiętnego gniewu, który nim niedawno miotał.

Gdy nagle towarzyszy jego wprowadzono do kaźni i szczupła przestrzeń zaludniła się cała, on

spojrzał na swych kolegów i na współczucie malujące się w ich oczach, odpowiedział smutnym i gorzkim uśmiechem, a potem, strojąc piękną swą twarz w wyraz męskiego hartu, z dumą podniósł czoło do góry, jakby chciał dowieść, że nie dba o dalsze swe losy.

Niedługo jednak przebywał August w towarzystwie swoich towarzyszy, które jakkolwiek nieme, mogło być przecież rodzajem pociechy w niedoli. Wkrótce otwarły się drzwi kordegardy i wszedł ów podoficer, któremu major dawał osobne jakieś polecenia. Był to wysoki, osiwiwały już mężczyzna, z miłą sztywną i służbiwą, z wyrazem dzikiej prawie surowości na ogorzałej twarzy. Za nim weszło dwóch żołnierzy z muszkietami, w lufach których tkwiły najeżone bagnety i stanęło przy drzwiach, oczekując rozkazu.

Podoficer zbliżył się do dragonów, szepnął im coś językiem łamanym czesko-niemieckim i dotykając końcem swej urzędowej laski młodego jeńca, zawołał:

— *Vorwärts* Polak!

Zwolna i obojętnie podniósł się nasz jeńiec, rzucił raz jeszcze pożegnalne spojrzenie na swych towarzyszy, skinął głową i oddany przez podoficera żołnierzom, wyszedł z kaźni.

Przez gmach trybunalski ratusza wiodło przejście brukowane i sklepione, przez nie poprowadziła straż jeńca aż na przeciwny koniec gmachu, gdzie się znajdowały więzienia. Oczekiwał tu nadchodzących pachołek magistratu z pękiem kluczków, a gdy

podoficer zbliżył się z więźniem, otworzył drzwi do pierwszej z kolei celi.

Z długo nieotwieranej celi, ciemnej i brudnej, buchnął wstrętny prąd ciężkiego, zepsutego powietrza i owiał przykrym tchem stęchlizny i wilgoci rozpalone lica młodego oficera. Jakby nie mógł pokonać wstrętu, zawahał się nasz więzień na progu, ale potrącony silnie przez podoficera, znalazł się w więzieniu, którego drzwi w tej chwili się zawarły.

Podoficer postawił na straży jednego z żołnierzy przy drzwiach, drugiemu kazał udać się zewnątrz gmachu pod okratowane okno celi, sam zaś, przerzuciwszy pęk kluczków przez rękojeść swej szabli, wyszedł z ratusza. Cisza się zrobiła w całym gmachu, a także samo milczenie zaległo cały plac rynkowy, przed chwilą tak rojny i ożywiony; obcy bowiem żołnierze odpoczywali po trudach marszu, mieszkańcy zaś kryli się w zakątkach domowych, oddając się trwożnym i pełnym zwątpienia rozmyślaniom.

Opuścimy na chwilę młodego jeńca i udajmy się do jednej z pobliskich gmachowi trybunalskiemu kamienic, w której, jak to poznać było można po warcie i snujących się ordynansach, stanął kwatery jeden z wyższych oficerów austriackich.

Była to istotnie kwatery placmajora, oficera, przeznaczonego naprędce do utrzymywania policji wojskowej i rygoru nad mieszkańcami. To też podczas, gdy w kwaterach reszty oficerów pogasły już światła, a strudzeni żołnierze we śnie szukali spoczynku po długim marszu, w mieszkaniu pana plac-

majora panował ruch żywy i ustawiczna komunikacja z odwachem.

W dużej izbie na dole, rozparty w wygodnym krześle, siedział pan placmajor, a nie był nim nikt inny, jak tylko znany nam już major od dragonów, którego nasz młody jeńiec polski nazwał Szczepanem Rozworskim. Zdawał się myśleć nad czemś głęboko, bo pochylił głowę na dół i mrucząc od czasu do czasu niezrozumiałe słowa, szarpał swój wąs jasny, a na raporta i zapytania przychodzących i odchodzących ordynansów i podoficerów, odpowiadał tylko po pauzie, której za każdym razem potrzebował do ocknienia się z zadumy.

Gdy wreszcie wydane zostały wszystkie nocne hasła i rozkazy, których potrzebowały straże i patrole, mające czuwać nad spoczynkiem wojska, które czuło się poniekąd w nieprzyjacielskim kraju, major drzwi zasunął na rygiel i stłumił nieco płomień w lampie, jakby mu potrzeba było ciszy i cienia do dalszych rozmyślań.

Rzucił się znowu na krzesło, rozpiął mundur i opierając głowę na dużych, żylastych dłoniach, siedział jakiś czas nieruchomo. Następnie, jak gdyby go myśli, którym się oddawał, jątrzyły i niepokoiły, porwał się na nogi i silnym, mierzonym krokiem przechadzać się począł po izbie.

Siwe oczy zamigotały mu jaśniej, twarz mu płonęła coraz żywiej, a z ust wydobywały się wyrazy, które z nieartykułowanego mruku przechodziły powoli w coraz głośniejsze i zrozumialsze słowa.

Krok jego stawał się coraz szybszym, jakby na znak, że rozjątrzenie wzmagало się, aż nagle major zatrzymał się i sam do siebie zawołał:

— Mogłem go zabić... Czemuż go nie zabiłem? Sposobność była jedyna, paść mógł od mego strzału lub pchnięcia i wszystko byłoby skończone! Nie poznaję siebie, skąd ta chwila słabości, w której młokos ten śmiał igrać ze mną i urągać mi bezkarnie!...

Kto wie, może to lepiej — mówił do siebie dalej major — mam go w mej mocy, nie ujdzie mi, a czego nie zrobiłem zaraz w pierwszej chwili, zrobić mogę dzisiaj, zrobię zaraz... Gdybym go zabił na miejscu, byłbym nasycił moją mamiętność i nieważność; teraz zaś mam sposobność uczynić to z pożytkiem... Nim umilknie na wieki, będzie musiał mówić... nim go usunę nazawsze, postaram się, aby mi nigdy po śmierci nie stanął upiorem na drodze, aby nie świadczyła przeciw mnie pamięć jego!

Twarz majora przy słowach tych rozgorzała odbłyskiem prawdziwie demonicznego zadowolenia. Zatarł ręce z okrutną rozkoszą, a po ustach przebiegł mu uśmiech szkaradny. Począł się znowu żywiej przechadzać po pokoju, a po kilku chwilach przystąpił do drzwi, odryglował je, otworzył i zawołał w słabo oświetloną sień:

— Trunk!

— Tu! — odpowiedział głos służbisty i w tej chwili wszedł do pokoju kapral, ten sam, który zamknął w celi jeńca i klucze do kaźni zachował.

Wszedłszy do pokoju, kapral Trunk stanął

przy drzwiach, wyprostował się, jek świeca i wlepił wzrok sztywnie w majora.

Major przystąpił do niego i zapytał szorstkim, surowym tonem:

— Mój rozkaz?

— „Najposłuszniej“ spełniony, panie majorze!

— Cóż się więc dzieje z aresztantem?

— Związany, oddzielony od reszty i zamknięty w osobnej celi.

— Bezpiecznie?

— Straż podwójna.

Major przeszedł się po izbie, spojrzął na zegarek stołowy i powróciwszy do podoficera, położył mu ciężką swą rękę na ramieniu, wlepił w niego swój wzrok surowy, przeszywający i ozwał się głosem powolnym, dobitnym:

— Czy chcesz zostać wachmistrzem, dostać medal, gratyfikację z kasy pułkowej, srebrny zegarek ode mnie, wziąć urlop i pójść do domu?

Twarz kaprała rozjaśniła się, jakby od przedsmaku owego szczęścia, które odmalował mu major swem zapytaniem.

— O chcę „najpokorniej“, panie majorze! — zawołał z radosnem zdumieniem.

— Słuchaj tedy! Za dwie godziny, o jedenastej, weźmiesz sześciu ludzi z odwachu i przyjdiesz tu po mnie. Potem pójdziemy do tego buntownika Polaka... Ale to niedość... Pamiętaj, że mam z niego spisać wojenny protokół. Wiesz co potrzeba, abyś przyniósł do tego protokołu?

— Wiem... — odparł sucho kapral — i twarz jego przybrała minę ponurą oprawcy.

— To dobrze — mówił dalej major. — Niema wątpienia, że ten aresztant zechce uciekać, a wtedy co zrobimy?

— Trzy kroki dystansu... sześć strzałów... ognia...

— A jak przy raporcie zapytają, czemu?

— Prosta rzecz: bo uciekał...

— Pamiętaj tedy: godzina jedenasta! A teraz ruszaj!

Kapral Trunk wykręcił się na piętach i zniknął za drzwiami.

Major, pozostawszy sam w izbie, roztworzył małą, blaszaną, skórą okrytą kasetkę, wydobyl z niej plik papierów, i począł przeglądać. Potem siadł do stolika i po niejakiem namyśle, począł pisać. Skończywszy, począł przechadzać się po pokoju, a na twarz jego wystąpił wyraz głębokiego zamyślenia i poznać można było łatwo, że coś rozważał i kombinował.

Od chwili zaś do chwili, to wydobywał własny zegarek, to spozierał niecierpliwie na duży, staroświecki zegar stołowy.

Była dopiero godzina dziewiąta.

— Jak leniwo czas się ślizga! — mruknął do siebie major — czemuż wcześniejszego terminu nie wyznaczyłem... Ale nie, trzeba czekać, aż nadejdzie noc głęboka z swą ciszą i tajemnicą! Za dwie godziny, gdy on zginie, któż mi stanie na drodze?...

Podczas gdy major, wśród ponurych myśli i widocznego wzburzenia, wiódł z sobą samym rozmowę i oczekiwał nadejścia przeznaczonej godziny, młody oficer polski leżał na wilgotnej, nagiej podłodze swej celi i zdawał się być oddanym rozpaczliwej i głuchej rezygnacji. Od czasu tylko do czasu całe ciało jego zadrgało ruchem jakimś nagłym, gorączkowym, a z ust uleciało westchnienie lub jęk, który raczej gniew niż boleść wyrażał.

W całym gmachu trybunalskim panowała dookoła cisza głęboka, tylko krok straży pod drzwiami stłumionem odzywał się echem. Ciszę tę przerwał dzwon zegara miejskiego, wybijający godzinę dziesiątą. Uderzenia zegara zdawały się być hasłem do rozbudzenia ruchu w oniemiałym gmachu. Była to godzina zmieniania straży. Na odwachu wszczął się ruch, żołnierze, przeznaczeni do dalszej warty nocnej, występowali zaspani pod broń i wkrótce rozległy się kroki w rozmaitych kierunkach.

W małym okienku celi, wychodzącym na korytarz, zabłysło światło słabe. Promień jego padł na twarz leżącego jeńca, który przetaił oczy i podniósł się z ziemi, nadsłuchując ruchu, który się odezwał tuż pod drzwiami jego kaźni.

W tej chwili zaskrzypiał klucz w zardzewiałym zamku i przez otwarte drzwi rozlało się światło po celi. Na progu ukazał się kapral Trunk z dwoma żołnierzami. Przybył on zmienić straż, stojącą pod drzwiami, i wszedł do kaźni, aby obaczyć jeńca

i wskazać go żołnierzowi, który świeżo przybył na wartę.

Kapral podniósł latarnię do góry i oglądając sam jeńca, zawołał z czeska do żołnierza:

— Widzisz go? Jakby uciekł, kula w łeb!

Żołnierz podniósł się nieco na palcach, wysunął twarz naprzód i wlepił oczy swe senne w pokazanego sobie aresztanta. Ale w miarę, jak patrzył, oczy jego, które miały wyraz zaspiania i głupiej obojętności, przybierać poczęły cechę szczególnego zdziwienia i prawie przestraszenia.

Żołnierz raz jeszcze posunął się naprzód, potem znowu cofnął się, jakby szukał lepszego punktu widzenia, wyteżył oczy jeszcze mocniej i począł je przecierać, przyczem ledwie na ziemię nie upuścił muszkietu.

— Panie Polak! — odezwał się w tej chwili kapral Trunk — do widzenia! Nie życzę dobrej nocy. bo za godzinę będziesz miał gości! Przyjdzie tu *Herr Oberstwachmeister* Rozworski. Będzie *Kriegsrecht*, panie Polak, *Hals-pein-Kriegsgericht*!

Usłyszawszy nazwisko majora, którego przybycie zapowiadał podoficer, jeńiec nasz drgnął gwałtownie, oczy mu zapalały namiętnie, a na czoło wystąpiła chmura oburzenia i mienawiści...

Usta zadrżały mu, jakby chciał coś odpowiedzieć, ale nie wydobył żadnego głosu z siebie, odstał tylko w tył i oparł się o mur w milczeniu.

— *Hinaus!* — zawołał tymczasem kapral na żołnierza.

Ale żołnierz stał, jak skamieniały i ciągle patrzył na swego więźnia, a z oczu jego nie ustępował wyraz niewysłowionego zdumienia.

— *Hinaus!* — powtórzył kapral i zniecierpliwiony pchnął pięścią zapatrzonego żołnierza.

Żołnierz ocknął się, uchwycił silniej muszkiet, raz jeszcze spojrzął na jeńca i wyszedł z kaźni. Za nim wyszedł i kapral, zatrzaskając drzwi z całej mocy.

Drzwi stare, wypaczone, widocznie nie przyłykały się dobrze, bo kapral przycisnął je kolanem i dopiero wtedy kręcić począł kluczem. Nie szło mu jakoś składnie i zawołał na żołnierza:

— Przyciśnij drzwi, a ja zamknę!

Żołnierz odstawił na bok muszkiet i przystąpiwszy, korzystał z światła latarni, którą trzymał kapral, aby je obejrzeć z miną wielce uważną i przebiegłą. Potem przytknął się do nich całym ciałem, stęknął, jakby od wielkiego natężenia i zawołał:

— *Teper fertig*, panie kapral, *szlusujcie!*

Kapral Trunk obrócił dwa razy kluczem, a wrzeciādze zatrzasknęły się głośno podwójnym nawrotem.

Żołnierz zaraz stanął przy drzwiach, a podoficer, dawszy mu ostre napomnienie, aby uważał, odszedł z kluczami na odwach.

Żołnierz stał nieruchomo pod drzwiami. Był to mężczyzna słusznego wzrostu, liczący może lat trzydzieści. Łagodne rysy twarzy i poczciwy, tęskny

wzrok odbijały dziwnie od długiego wąsa, wykręconego i wywoskowanego czupurnie.

Typ jego twarzy i całej postaci mówił wyraźnie, że nie należał ani do czeskiej, ani do niemieckiej lub węgierskiej narodowości, które głównie składały się na korpus pana generała Majenszerma. Z kilku słów, wyrzeczonych do kaprala w wojskowym popsutym żargonie, można było wnioskować, że jest Rusinem.

Przez kilka chwil dobrych żołnierz stał sztywnie i nieruchomo. Gdy zniknęło mu już zupełnie z oczu światło latarki, niesionej przez kaprala i gdy ucichły już kroki wart zmienionych i powracających z miasta patroli i rondów, odważył się powoli posunąć na środek ciemnej sieni i rozejrzał się dokoła.

W długiej i szerokiej sieni było ciemno i głucho. Jak już powiedzieliśmy, sklepiona ta sień przechodziła przez cały gmach trybunalski. Drzwi, zamykające wychód na tylną stronę, były zamknięte szczelnie; drzwi od frontu, przy odwachu, tylko słabo przywarte, tak, że przez szparę przeciskał się blask księżycowej nocy.

Po kilku minutach nadśłuchiwania, żołnierz oparł swój muszkiet przy drzwiach i cichutko, na palcach, puścił się w głąb korytarza.

Widocznie chciał dobrze zrekonoskować miejscowość, a przede wszystkim przekonać się, czyli niema kogo w samym korytarzu.

Jedną część korytarza, oświetloną ową strugą księżycowego blasku i światelkiem, bijącym z okienka bocznych drzwi kordygardy, która znajdowała się zaraz przy głównym wchodzie, można było zbadać spojrzeniem; drugą, pogrążoną w ciemności, musiał żołnierz przejść ostrożnie.

Idąc powoli i cichutko, zatrzymał się nagle, jakby przestraszony. O kilka kroków przed nim zarysowały się kontury jakiegoś ciemne, jakby leżących lub siedzących ludzi. Żołnierz zawahał się chwilę, a potem śmieiej posunął naprzód. To, co się wydawać mogło grupą odpoczywających żołnierzy, było tylko składem bagażów wojskowych, popsutych muszkietów, lub ryszunków maroderów, które umieszczono tam naprędce.

Jakby uspokojony tem spostrzeżeniem, żołnierz przebiegł ostrożnie, ale już śmieiej, resztę ciemnej sieni, a potem powrócił do drzwi kaźni, przy której oparł był swój muszkiet.

Znalazłszy się na swoim miejscu, raz jeszcze słuch i oko wyczerpał, a potem zlekka, cicho, zapukał do okienka, czyli raczej otworu nieoszlonego, znajdującego się we drzwiach, i odsunął z niego rodzaj zasuwanej okieniczki.

Na pukanie to nie odpowiedziano w celi... Żołnierz po chwili zapukał powtórnie do drzwi trochę głośnieiej, choć, jak przedtem, łagodnie i ostrożnie, i przychylił ucho do drzwi.

Z kaźni dały się słyszeć ruch i stapanie, które zatrzymało się przy drzwiach... Żołnierz, jakby w ce-

lu tem wyraźniejszego zwrócenia uwagi więźnia, raz jeszcze powtórzył pukanie, a potem, podnosząc się na palcach i zbliżając usta do otworu, szepnął cicho, lecz wyraźnie:

— Paniczu...

Lekki szmer dał się słyszeć w odpowiedzi z tamtej strony drzwi, a w szybcie ukazała się tuż przed oczyma żołnierza twarz jeńca.

— Paniczu... — szepnął znowu żołnierz — ja was poznał... a może i wy mnie już poznali... Ja swój, dobry znajomy...

Słowa te wymówił żołnierz czystym akcentem ruskim.

— Kto? — szepnął jeńiec głosem, w którym przebijają się zdziwienie.

— Alboż wy pamiętacie, jak ja się zwał, paniczu Szczytowski?—rzekł żołnierz.—Ot, kto ja, Mykita Sawczyn... biedny wojak...

— Ty, Mykita z Modrowa!

— A nieinaczej, paniczu... Ot i poznaliście mnie.

— Cóż tu robisz?

— Ot co! Na warcie stoję koło was, paniczu!...

Hej, hej... ktoby się tego spodziewał...

— W Modrowie co słyhać? — przerwał więzień z pośpiechem. — Wszyscy zdrowi... panna?...

— Byli zdrowi, jakem odchodził, ale to już rok temu, jak mnie wzięli w kamasze, ta aż tu przypędzili... Oj gorzka mi dola, paniczu...

Nastąpiła chwilka milczenia.

— Słuchaj Mykita — odezwał się jeniec — ty sam mnie pilnujesz?

— Sam z tej strony, a z tamtej od okna, jest drugi...

— A wiesz, że jak nie ucieknę zaraz w tej chwili, to zginę marnie?

— Oj to bieda... gorzka bieda!...

— A uciec mi nie można?...

— A kto to wie? Możeby jak i można, paniczu — odrzekł żołnierz z uśmiechem, pełnym satysfakcji.

— Ale jak? Mam ręce związane... Masz nóż może... ja stanę na listwie drzwi, podniosę ręce, ile będę mógł, a ty przetnij powrozy.

— Ta na co? — zapytał naiwnie Mykita.

— Jakto na co? Aby drzwi wysadzić, jeżeli będzie można...

— Oho, paniczu, toby dopiero był sposób na nic... A gdzieżby wy drzwi wyłamali! Już ja o tem inaczej pomyślał...

— Więc jakże?

Mykita obejrzał się raz jeszcze dokoła, nadśluchiwał chwilkę, a gdy się uspokoił panującą dokoła głąką ciszą, szepnął:

— Na co drzwi wyłamywać, paniczu... Drzwi otwarte.

I uchwyciwszy za rygiel, otworzył drzwi z wolna.

Jeniec jednym skokiem stanął w ciemnych sieniach.

— To cud! — zawołał stłumionym głosem. — Zbawco mój, jakże się to stało?...

— Ot jak... bez żadnego cudu... Cud w tem, że mnie tu postawili i że ja was poznał, paniczu. A poznałem zaraz, jak mi was tylko kapral pokazał... Jak przyszło drzwi zamknąć, nie chciały przyrzeć się dobrze i rygiel nie wchodził w zasuwę. Kapral kazał mi przycisnąć, i ja też co mocy przycisnął, ale wsunąłem pierwej między drzwi koniec od pochwy z bagneta. Jak zawołałem, że już *fertig*, kapral skrzył klucz, trach!... trach!... żelazo zaszło w dwa spusty, ale nie w hak, jeno ot po za hak...

I wskazując na rygiel żelazny, sterczący z drzwi otwartych, dodał:

— Ot jaka bieda gruba... ktoby to złamał!

W tej chwili zobaczył Mykita, jak na okratowanym oknie celi rysował się bagnet żołnierza, stojącego zewnątrz na warcie, i prędko drzwi zamknął.

— Paniczu, jeżeli mamy uciekać, to zaraz — zawołał z cicha.

— Jak to i ty?

— A po cóżby mi tu zostawać? Jak ja was już puścił, to tu niema dla mnie popasu... Ot tak... rozwiążę wam ręce...

Za pomocą silnych zębów i noża Mykity, ramiona jeńca były w mgnieniu oka wolne.

Jeniec rzucił się na żołnierza i serdecznie go uściskał. Potem, jakby gnany bezwiednym instynktem, zrobił ruch ku światłu, bijącemu przez szczelinę drzwi od głównego wchodu.

— Owa! — szepnął Mykita — tak nic z tego. Tak nie uciekniemy.

— Więc cóż zrobić!...

— Ot bierzcie, paniczu, muszkiet i stójcie, jak na warcie, na przypadek, jakby kto z kordegardy wyrżał. A ja coś tymczasem przyniosę.

Jeniec wziął muszkiet na ramię i stanął przy drzwiach, a Mykita przypadł na ziemię i na raczkach podsunął się do owego składu przyborów i bagażów, które leżały w dalszej części sieni. Niebawem powrócił w ten sam sposób. Miał w ręku kask duży, taki, jak sam miał na głowie i muszkiet z nasadzonym bagnetem.

Nim go jeniec miał czas zapytać, co myśli robić, już mu Mykita nasadził na głowę ciężki kask.

— Tak będzie dobrze! Teraz wy, paniczu, wo- jak i idziecie ze mną luzować warty, niby to z wachcymru... A niech nam teraz *hospod'* Bóg i Przeczy- sta Panna będą miłościwi, bo jak poznają i złapią, wtedy pożegnać się z życiem... Co nas czeka, to nie wiem, ale ja przysięgał wierność „na polu i w mu- rach, na morzu i lądzie“, i jak nie ujdę, będę gryzł ziemię surową i już mnie nie zobaczy stara mateńka. Przeżegnajmy się paniczu!

I uzbroiwszy piersi swe potrójnym znakiem Krzyża Świętego, poczciwy Mykita wziął muszkiet drugi na ramię i pewnym krokiem posunął naprzód.

Za nim z muszkietem po formie i z kaskiem na głowie postępował jeniec. Kiedy mijali drzwi od

odwachu, Mykita aż oddech wstrzymywał z oba- wy, ale nikt nie wyglądał przez okienko.

Kiedy już stanęli pod bramą, rzekł poczciwy Rusin:

— Szyldwach chodzi po stronie lewej. Panicz niech teraz idzie naprzód, zaraz po pod mur na prawo, a ja tuż za wami z tyłu, aby was zakryć, bo noc, jakby licho nadało, taka miesięczna. Jeżeli na nas warta nie zawoła, to dobrze na początek, a co dalej będzie, w Bożych rękach.

Rzekłszy to, otworzył Mykita bramę, która przeraźliwie zaskrzypiała. Zatrwożony jeniec postą- pił szybko naprzód, ale Mykita polecił mu iść wol- niej i aby nie wzbudzać podejrzania straży, przy- mknął bramę spokojnie napowrót.

Obu zbiegów oblało jasne światło miesięczne i orzeźwiający tchnienie chłodnego powietrza, które jeniec z rozkoszą zaczerpnął do uciśnionej piersi. Według polecenia Mykity, skrzył na prawo, a Rusin szedł tuż za nim, zakrywając go sobą.

Oparty o mur, koło szeregu karabinów, stał żoł- nierz i zdawał się drzemać. Na skrzył bramy ocknął się, podniósł głowę do góry i klejące się do snu oczy zwrócił w stronę, z której go kroki docho- dziły. Ujrzał dwa bagnety sterczące, dwa kaski wysokie, oparł się napowrót, ziewnął głośno, i wstrząsł się od chłodu, nie zwracając uwagi dal- szej na obu żołnierzy, których za patrol uważał.

Tymczasem obaj nasi znajomi skręcili po za trybunał i znikli...

.....

Major Rozworski czekał niecierpliwie godziny oznaczonej. Siedział na krześle i przerzucał gorączkowo leżące przed nim papiery, z których kilka świeżo były zapisane. Im bardziej zbliżała się wskazówka na stołowym zegarze do cyfry jedenastej, tem wyraźniej wybijał się na jego twarzy wyraz niecierpliwości i wzburzenia.

Zdawało się, że to zbliżanie się spotkania z więźniem wzburzało go i przejmowało uczuciem niepokoju, który przybierał prawie wyraz trwogi.

Nareszcie wskazówka leniwa dobiegała już oznaczonego kresu.

Major porwał się z krzesła i otarł swe wysokie, wypukłe czoło, które oblane było potem.

— Nie pojmuję siebie — mruknął przez zęby major — jakaś niepojęta groza wieje od tego młokosa... Przejmuję mnie trwoga ponieważ... jakby nie on pod moją, ale ja pod jego leżał stopą!

W tej chwili uderzył zegar głośno jedenastą godzinę.

Major zapiął szybko swój mundur, przypasał szablę, nasadził hełm, i papiery, które przed nim leżały, schował w zanadrze.

Równocześnie prawie z ostatniem uderzeniem zegarowego dzwonka, dało się słyszeć pukanie do drzwi i w progu ukazał się kapral Trunk, wyprężo-

ny, jak struna, z ręką wyciągniętą do kaska. Za nim połykiwały bagnety przyprowadzonych żołnierzy.

— Pójdziemy — ozwał się major i chciał postąpić ku drzwiom.

W tej samej jednak chwili, gdy słowo to wyrzekł, zatrzeszczała szyba i coś silnie uderzyło go w hełm. Uderzenie było ciężkie, jakby od kamienia. Pocisk sam upadł i potoczył się na ziemię.

Major pochylił się ku ziemi i ujrzał coś okrągłego, owiniętego w papier...

Pod oknem dały się słyszeć szybkie kroki, jakby uciekającego człowieka...

Major szybko rozwinął papier, z którego wypadł kamyczek. Z zdziwieniem spojrzął na kartkę, która została mu w ręku. Była ona zapisana ołówkiem.

Major zbliżył się do lampy i rzucił okiem na zagadkową depeszę. Na kartce widniały następujące słowa:

Mości Panie Majorze!

Przepraszam najmocniej, że nie oczekiwałem Twojej wizyty, Panie Szczepanie Rozworski! Musiałem opuścić kwaterę przed przybyciem uprzejmego Gospodarza. Daruj, spieszno mi było, spieszniej, niż Panu widzieć się ze mną. Racz się nie fatygować. Nie bierz tego za złe, Mości Panie Majorze. Przyjmuję wizytę jako faktyczną i jak tego grzeczność wymaga, *oddam Ci ją* — przysięgam Ci na Boga ży-

wego—*oddam Ci ją!* Spodziewaj się jej codziennie, co chwila, kładź się do snu przygotowany na to, że Cię zbudzę... Niespodziewani goście najmiłsi, nieprawdaż, Panie Majorze?

Adresu Twego nie potrzebuję. Znajdę Cię wszędzie, choćby na końcu świata!

Do widzenia tedy!

August Szczytowski.

Major, odczytawszy te słowa, zadrżał, jak liść, a potem stanął, jak martwy, na miejscu.

Oczy jego utkwily w małej kartce i oderwać się od niej nie mogły.

Tak stał chwilę śmiertelnie blady, aż nagle poczerwieniał i ocknął się, wybuchając namiętnie.

Wydał z siebie okrzyk, pełen wściekłego gniewu, a kartka zniknęła w ściśnionej gwałtownie dłoni.

— Uciekł! — ryknął w najwyższej furii.—*Hoła, za mną! Muszę go schwytać!... muszę go mieć żywego lub trupem! Za mną! Więzień niebezpieczny zbiegł z więzienia! Alarm, pogoń, patrole konne!*

I jak szalony, wybiegł na ulicę, a za nim pospieszyli przerażeni żołnierze...

IV

Towarzysze ucieczki.

Było to w kilkanaście dni po wypadkach, które opisaliśmy w poprzednich rozdziałach. Od dawnej widowni przedziela nas znaczna odległość miejsca. Znajdujemy się tym razem w owej części kraju, która w czasie ostatnich zapasów o wolność, zmuszoną była odgrywać rolę bierną i tylko współczuciem patriotycznym, tylko podzieleniem nadziei, wiążących się z dolatującym echem boju, tylko boleścią, wywołaną przez ostatnie stanowcze ciosy, a nie bezpośrednio pomocą, nie otwartym czynem, przebywała wszystkie wzruszające i tragiczne perypetye chwil przed i pomaciejowickich.

Mamy na myśli Galicyę, która teraz właśnie, w zajętych po bitwie maciejowickiej przez wojska austriackie okolicach, otrzymała współniczkę do i nazwy: Galicyę tak zwaną „nową“. Ale i nasza stara Galicya nie była jeszcze wówczas tak starą, miała dopiero lat dwadzieścia i trzy.

Zrównana oplakany los z innymi ziemiami polskimi, którym do niedawna zazdrościła, spełnia-

ła Galicya w ostatnich chwilach walki smutne swe zadanie: służenia za chwilowe schronienie, ze niepewne przytulisko dla nieszczęśliwych rozbitków, uchodzących przed zwycięskim wrogiem, który przechodził teraz żelazną stopą po zdobytej ziemi.

Ci, którzy chronili się tu z okolic, zajętych przez Austryaków, spotykali się z tym samym rządem, przed którym uchodzili, ale mimo to Galicya „dawna“ była zawsze o tyle przynajmniej lepszym miejscem przytułku, o ile rząd ten, ustaliwszy się w niej, złagodniał znacznie i większego bezpieczeństwa dawał rękojmiej, niżli w Galicyi nowej, która zajęta zbrojną ręką, postawiona w pierwszych dniach pod władzę wojskową, musiała stać się ofiarą wszelkich dorywczych aktów przemocy, wszelkich skutków surowości wojennej, jakie nieodłączne są od nagłej okupacji i pierwszych chwil obcego rządu.

Bezpieczniejsi tu byli wygnańcy, ale bezpieczni całkiem nie byli. Władze tutejsze, choć nie zaniebujące ze wszystkich względów humanitarności, trzymały się przecież względem rozbitków systemu nietolerancyi, czasami bardzo surowej i bardzo jaskrawej. Ścigano i tu rozbitków kościuszkowskiego powstania, więziono, wyrzucano za kordon rosyjski, albo wcielano do szeregów armii. Mimo to jednak wielu z nich zdołało wypocząć tu po przebytych cierpieniach i trudach, uzyskać tyle przynajmniej spokojnego czasu, aby nabrać sił do nowych przygód i kolei tułactwa, które im niesło niepewne jutro. Zawdzięczać to należało głównie obywatelom wiejskim,

którzy obeznani już dobrze z rządem i jego organami, a niewyczerpani w fortelach i środkach najrozmaitszych, umieli zapobiegać rygorom i mylić czujność urzędów.

To też w pierwszy tygodniach, po klęsce maciejowickiej, można się było spotkać na każdym prawie miejscu z rozbitkami wojska polskiego, chowanymi skrycie po dworach, aresztowanymi i znów odkradanymi, przemycanymi ze wsi do wsi, z okolicy w okolicę.

Do takiej to kontrabandy żywej należeli widocznie także dwaj mężczyźni, którzy w czasie oznaczonym na początku tego rozdziału, na prostym wózku chłopskim, jechali wśród wieczornego zmierzchu drożyną wiejską, wiodącą przez jedną z okolic przemyskiej ziemi. Osobliwie jeden z nich, młody jeszcze bardzo, zdradzał swą bardzo niedawną obozową przeszłość i ogorzałą twarzą i resztkami żołnierskiego stroju, które nie dały się usunąć przez pospieszne i niedostateczne przebranie. Miał on bowiem na sobie sztylpy kawaleryjskie i kurtkę wojskowego kroju, choć bez żadnych oznak żołnierskich, którą okrył długą burką z grubego sukna, a na głowie siedział z junacka kołpaczek, któremu brakło tylko galonu i kitki, aby zachował swą dawniejszą, uniformową cechę.

Obok niego siedział drugi, starszy nieco, ale także pierwszej jeszcze młodości mężczyzna, z miną dużo mniej dystygowaną i wyrazem trwożliwej jakiejś pokory na twarzy, ubrany w kubrak hajducki

nieważ za przestronny i z kapeluszem wiejskim słomianym na głowie.

Chłopak powożący poganiał swe małe koniki, które z trudnością tylko darły się przez wyboje złej drogi, co widocznie wielce niecierpliwiło młodzieńca w kołpaczku. Wyteżał on wzrok przed siebie, jakby usiłował przebić mrok wieczora i dojrzeć cel, do którego podróż zmierzała, a co chwila naglił chłopka do pospiechu.

— Słuchaj — odezwał się do siedzącego obok siebie towarzysza — popatrz, czy daleko jeszcze? Tak dawno tu nie byłem, straciłem już pamięć drogi...

Mężczyzna w kabracu hajduckim podniósł się z siedzenia, wyteżył wzrok w stronę, w której gubiła się drożyna wiejska i odrzekł:

— Już widać paniczu... Hen, hen... daleko!... *rychlik gradaus*... tylko się ćmi w oczach, to karczma na Czekażu.

Młodzieniec powstał, oparł się jedną ręką na ramieniu furmana i patrzył w wskazaną stronę. Płaszcz, którym dotąd był otulony i którego wysoce kołnierz osłaniał mu połowę twarzy, opadł na dół. Była to twarz choć nieco wynędzniała, ale urodziwa, a co przedewszystkiem czytelników naszych obchodzi, była to ta sama twarz śniada, marsowa, z orlim nosem i ognistym, rogatym wyrazem oczów, którą poznaliśmy na rynku w Lublinie.

Młodym, niecierpliwym podróżnym był August Szczytowski, jeniec polski, zbieg z trybunalskiego

więzienia, a łamana z ruska polszczyzna, którą mu odpowiadało, nie pozostawiała wątpliwości, że towarzyszem jego nie był kto inny, jak tylko ów żołnierz, który mu tak niespodzianie ułatwił ucieczkę.

Nie będziemy obszernie opowiadać czytelnikom ucieczki tej dalszych szczegółów. Ograniczymy się tylko na dodaniu, że obaj nasi awanturnicy szczęśliwie wymknęli się po za gmach trybunalski, a minawszy ostatnie, zewnętrzne strażę, poodrzucali muszkiety i kaski, które oddawszy im dotąd tak dobre usługi, w dalszej ucieczce przez miasto mogłyby były stać się powodem odkrycia.

Przesuwając się po pod kamienicę, w której umieszczoną była komenda placu, a którą mijając konieczne było trzeba, młody jeniec spojrzął mimowolnie w jasno oświetlone okno i jakby uderzony jakimś magicznym widziadłem, stanął na miejscu, jak wryty...

Przez okno można było widzieć dokładnie majora, znanego już dobrze naszym czytelnikom.

Na widok majora, August zadrżał. Nie było to jednak drżenie trwogi zbiega, był to dreszcz namiętnego gniewu i i nienawiści. Nienawiść ta, jakby kurczami ścisnęła pierś oficera, bo chwycił się jedną ręką za serce, ściskając drugą gwałtownie...

Z oczu połyskiwał mu blask szalonego gniewu, a pierwszym ruchem jego po chwili odrętwienia było instynktowe sięgnięcie do pasa, gdzie dłoń spodziewała się może zastać broń zwyczajną.

Żołnierz, który drżał ze strachu, bo może mu

dopiero teraz stało straszliwym widmem niebezpieczeństwo uczynionego kroku, dotknął się z lekka ramienia Augusta i szepnął:

— Paniczu! czego stoicie! uciekajmy...

August przypomniał sobie teraz swego towarzysza i zwracając się ku niemu, syknął stłumionym głosem:

— Czemu rzuciłeś muszkiet głupcze! Był nabity!

— Ale na cóż wam muszkietu... Nie traćmy czasu, na miłość Boga!

— Na co? Zabiłbym go, jak psa! Ale nie... spotkamy się jeszcze... A tymczasem dam ci wiadomość o sobie, panie majorze Rozworski!

Sięgnął w zanadrze, wydobył seksternik mały i ołówek, który miał jeszcze w obozie przy sobie, a których mu nie odebrano, gdyż nie przebywał dotąd rewizyi. Potem podszedł bliżej, stanął z boku tuż przy oknie i przytrzymując papier na murze, począł kreślić szybko swój list do majora.

Żołnierz z rozpaczą i z najwyższym zdziwieniem patrzył na swego towarzysza, o którym gotów był przypuszczać, że dostał obłąkania.

— Co wam jest, czyście rozum postradali, paniczu? — zapytał, szarpiąc za poły Augusta. — Na miłość Boga... mnie i siebie zgubicie...

— Tylko chwilka... tylko chwilka... skończę zaraz... — uspokajał August, nie przestając pisać.

Jakoż dotrzymał za małą chwilę słowa, odstąpił od muru, przykląkł na ziemi, a podniosłszy mały

kamyczek, wstał, obwinął go zapisaną kartką i rzucał w okno z całym zamachem.

Stłuczona szyba odezwała się z brzękiem, a brzęk ten wśród ciszy nocnej wydawał się przeraźliwie głośnym.

Biedny żołnierz, który już i tak przebył torturowe męczarnie, uczył pot śmiertelny na czole i jak szalony zaczął uciekać. Ale August, dokonawszy tak zuchwałego czynu, rzucił się w tej chwili za nim i obaj za chwilę zniknęli w jednej z bocznych, ciemnych uliczek.

Na tem się kończy najciekawszy dla czytelnika epizod ucieczki. Na dalsze jej koleje złożyły się przeróżne drobne zajścia... przygody i niebezpieczeństwa, których opowiadaniem znużylibyśmy czytelników. Szczęście opiekowało się naszymi zbiegami i po kilkunastodniowych trudach, dotarli do starej Galicyi, a teraz docierali do pierwszego celu swej podróży.

Owa karczma bowiem na Czekaaju, o której mówił towarzysz Augusta, zbliżała się coraz bardziej, aż nareszcie zrównał się z nią wózek. Podróżni nasi mieli się tu zatrzymać, lecz nim zdołali oznajmić swe życzenie powożącemu chłopkowi, ten już, siłą nawyczki, stanął przed bramą.

Obaj podróżni wyskoczyli z woza.

Żołnierz przystąpił do Augusta i całując go w rękę, rzekł rozrzewnionym głosem:

— No, żegnajcie paniczu! Bożej łasce was oddaje... żegnajcie!

— Idziesz, poczciwy mój wybawco! — zawołał August, ściskając serdecznie dłoń żołnierza. — Mnie to pozostaje prosić Boga za ciebie, bom tobie winien życie. Jeżeli tylko jednemu z nas łośg przeznaczył spokój i wytchnienie, to obyś ty nim był, drogi ty, kochany mój towarzyszu!

— Co tu wymawiać, złoty paniczu — mówił prawie z płaczem żołnierz — niech to sobie pozostanie Bogu niewymowne. Toż ja was znał, paniczu, od tak dawna, i wasz dwór poczciwy cały... ta i pana, a ojca waszego, ja jeszcze zapamiętałam...

— Żal mi rozstawać się z tobą — mówił rozczulony August — i boję się o ciebie... Mogą cię złapać samego i ciężkieby cię czekało nieszczęście.

— Oj, to już daremnie — odparł stanowczo żołnierz — już mnie siła ludzka żadna tu nie powstrzyma, chyba śmierć nagła. Toż to moje sioło już iedwie mila stąd, człowiekowi się zdaje, że już widzi światło z swojej chaty. A ja mam mateńkę w tem siole matkę starą, biedną, sierotę opuszczoną, co mnie opłakała krwawymi łzami, jak mnie werbownicy wzięli. Co ona tam robi biedna, jak gołąb siwiutka? Nie, już ja się niczego ni boję... złapią to złapią... zabiją to zabiją... a matkę moją przecież obaczę...

August, który już przedtem opatrzył w pieńdże swego poczciwego towarzysza, wsunął mu jeszcze do ręki dwa dukaty i raz ją jeszcze uściskał. Żołnierz pochylił się do kolan, zwrócił się szybko i pobiegł jakąś boczną ścieżką.

August patrzył przez chwilę za nim, a gdy mu już znikła całkiem z oczu postać, westchnął i wszedł do środka gospody, każąc wieśniakowi także zająchać do sieni.

Noc już zapadała, w izbie szynkowej nie było nikogo, tylko Żyd drzemał w kącie szynkfasu. August przystąpił i zapytał:

— Czy w modrowskim dworze zastanę kogo?

— Czemu nie? — odparł zaspany Żydek, przecierając oczy i patrząc ciekawie na podróżnego.

— Dziedziczka jest?

— A gdzieby była... Ona już teraz nigdy nie wyjeżdża...

— A więcej kto jest?

— A kogo pan chce, aby był?...

— Panna... — dodał August po chwili, jakby mu trudno było wymówić to słowo.

— A jest, gdzieżby się podziała... Tylko jaśnie pana Rozworskiego niema, wielkiego jaśnie jenerała.

— Majora — szepnął przez zęby August...

— Aha... jaśnie pana majora... Był tu długo, ale teraz pojechał na wojnę...

— To źle, miałem do niego interes — rzekł z udanym frasunkiem August — ale już ja tam kogoś znajdę w moim interesie. Tymczasem wóz niech zostanie w karczmie, aż powrócę.

I nie dając czasu ciekawemu Żydkowi do dalszych zapytań, wyszedł z karczmy.

Na dworze zrobiła się noc prześliczna. Niebo

okryło się gwiazdami, a księżyc w pełni zeszedł co dopiero i falą mistycznego swego światła oblał ziemię.

August spojrział na to niebo tak pogodne, tak piękne, tak pełne majestatycznego spokoju — i po tylu przebytych gwałtownych wzruszeniach, doznał po raz pierwszy od dawnego może bardzo czasu pewnego rzewnego ukojenia.

— Jak jasno pała się gwiazdki niebieskie — szepnął sam do siebie — jakby sprzyjały mnie i drogę chciały oświetlić do niej... Czy ją obaczę, czy zastanę? Czy odebrała mój list uprzedzający, czy przyjęła wezwanie na tę dziwną, ostatnią może schadzke miłosną...

I szybkim krokiem podążył naprzód. Karczma na Czekaju stała na wzgórzu, prowadziło od niej kilka ścieżek na dół do wsi, która leżała jakby w kotlinie, a której szarawe kontury mógł już rozeznaczyć nasz wędrowiec. Znał zapewne dobrze drogę do modrowskiego dworu, bo bez namysłu puścił się jedną z wielu ścieżek, prowadzących przez pole.

Szedł krokiem spiesznym, biegł prawie.

— Ten biedak — szepnął znowu do siebie August, zbliżając się coraz bardziej do wsi — rzucił na hazard życie swe, naraził się na srogą karę, byle ujrzeć matkę-staruszkę, czemuż mnie tak braknie odwagi i otuchy... Czy mogę mieć nadzieję? Czy będę mógł stanąć przed nią kiedyś bez maski, bez kłamstwa i śmiało wymienić nazwisko me, nie wywołując zgrozy w jej duszy!... O jeżeli to widmo

okropne stać będzie między mną a nią... co za straszliwy los dla mnie... i dla niej...

Wzruszenie jego wśród tego cichego szeptu wzbierało w gwałtowny sposób... skronie gorzały mu gorączką. Zdjął kołpak i z odkrytą głową biegł coraz spieszniej ku wsi.

Nagle stanął na chwilę, spojrział przed siebie i ciężko odetchnął. O kilkaset kroków zaledwie przed nim ukazały się w świetle księżycowym rysy dużego, niekształtnego dworu wiejskiego. Był to dom bez piętra, obładowany najrozmaitszemi przyczepkami i dobudowaniami, jak to zazwyczaj spotkać można w starych dworach szlacheckich. Dwór ten stał w dość znacznej odległości od siola i zabudowań gospodarskich, a otoczony był z jednej strony obszernem, obmurowanem podwórzem, z drugiej zaś, tylnej strony ogromnym ogrodem, który przypierał do wielkiego stawu.

W nocnem oświetleniu na bardzo piękną i malowniczą całość składały się: ten białawy dwór, ta ciemna przestrzeń gęstego ogrodu i ta świetlana, promieniami księżycy dziwnie uroczo oblana, zdala połyskująca szyba stawu.

We wsi panowała już cisza, przerywana tylko głuchem, nękającym w oddali naszczekiwaniem psów, a we dworze także mało kto zdawał się czuć mimo wczesnej jeszcze bardzo pory wieczornej, gdyż z licznych okien tylko dwoje zaledwie było oświetlonych...

August dążył wprost ku dworowi, ale coraz

wolniejszym krokiem. Wzruszenie dziwne zdawało mu się rozpierać piersi i cisnąć krew wszystką do serca, do którego dłoń swą cisnął. Nie szedł ku frontowi dworu, ale zmierzał ku jasnej szybie wodnej, w której połyskujących głębiach, jak w magicznem zwierciadle, tonął wzrok młodzieńca. Doszedłszy do stawu, szedł brzegiem jego, nad którym wznosił się parkan wysoki, przedzielający ogród od wody. Wzdłuż parkanu szedł długo, aż nareszcie stanął przed wązką, żelazną furtką, od której prowadziły kamienne schody do stawu.

Tu zatrzymał się, zaczerpnął raz jeszcze powietrza do piersi, jakby chciał nabrać sił i odwagi, i chwycił dłonią za małą, żelazną klamkę. Ostrożnie popchnięta furta poddała się, była otwarta. Wrzeczadze lekko skrzypnęły i nasz wędrowiec znalazł się w ogrodzie.

V

Klątwa infamii.

Ogród, do którego wszedł August, wyglądał ponuro i fantastycznie w półświecie nocnem. Było to już w zimie, bo na początku samym grudnia, ale śniegu jeszcze nie było, a powietrze, mimo wieczornego przymrozku, było przyjemne, prawie ciepłe. Ale drzewa były już całkiem nagie i czarnemi skieletami swych gęstych gałęzi spletały się na tle księżycowego omrocza w tkaninę jakąś dziwną, a stare, pokrzywione i powyginane pnie i konary przybierały kształty, któremi imaginacja igrać mogła do woli.

U samej furty żelaznej zbiegały się z całego ogrodu szpalery, których chłód i cienistość, sądząc po rozmiarach i starości drzew, musiały być w lecie rozkoszą przechadzki, a które teraz przedstawiały tylko puste rzędy czarnych, nagich, oniemiałych pni, rozczepionych w arabeski i zygzaki swych konarów. Językiem drzew jest szum ich liści, tajemniczym gwarem brzęący w powietrzu, a dziś liście te, suche i żółte, wyścielały ziemię i tylko pod ostrożną stopą naszego wędrowca wydawały smętny szelest.

August puścił się jednym z tych szpalerów, i wolnym krokiem, rzucając ciągle badawcze spojrzenia wokoło i przed siebie, zbliżał się do tylnej fasady starego dworu. Gdy się doń zbliżył na jakich trzydzieści kroków, zatrzymał się i wzrok jeszcze bardziej wyteżył przed siebie.

Tylna strona dworu była prawie cała oszklona, bo wszystkie pokoje, wychodzące na ogród, miały ogromne włoskie okna i szklane parapety. Po lewej i prawej stronie znajdowały się dwa tarasy, dwa pawiloniki małe, podobne do latarni, bo ściany ich prawie z samych szyb były złożone.

W jednym z tych tarasowych pawiloników wiadać było światło. Oczy Augusta utkwily w przezroczystych szybach. Chwilę patrzył, stojąc nieruchomo, jakby daremnie szukał wyczekiwanego przedmiotu, gdy nagle po świetlanych szybach przesunął się cień jakiś, smukły i wysoki.

August porwał się z miejsca i poskoczył ku pawilonowi. Wszedł ostrożnym krokiem na schody, prowadzące do drzwi, a stanąwszy w górze z lekka zapukał. Drzwi były odchyłone, ale pukający nie otrzymał odpowiedzi.

Małą chwilkę zatrzymał się jeszcze August, a potem zwolna drzwi otworzył. Z początku zdało mu się, że niema nikogo... Ale nagle, w przeciwnym końcu pawilonu, gdzie stała grupa wazonów z egzotycznymi kwiatami, dał się słyszeć szelest i jakby wyrosła z pośród tych kwiatów, okazała się

postać wysoka, niewieścia, w długiej, spływającej sukni, okryta długim, niedbale zarzuconym szalem.

August objął ją wzrokiem, w którym zapłonęło uczucie, wygórowane aż do najwyższego zachwyty, postąpił krok naprzód, ramię instynktowo wyciągnął przed siebie i tłumiąc gwałtem głos, wydzierający mu się z piersi, szepnął:

— Gabryela!

Kobieta cofnęła się lekko i wstrząsała się, jakby od doznanego lęku, lecz nagle, jakby nie mogąc już powstrzymać silnego uczucia, postąpiła szybko naprzód i głosem, w którym, choć drżący był i słaby, odezwały się całą swą skalą najwyższe wzruszenie, radość i przestraszona słodki, szepnęła:

— Przybywasz... jesteś! To ty! O mój Augustcie!

Ostatnie te słowa, które jakby tchem szczęścia i zachwyty wionęły z ust kobiety, zamarły cichem, stłumionem łkaniem na piersiach Augusta, który objął ramieniem swem wiotką kibić kobiety i tulił ją do bijącego serca.

Ale słodkie to upojenie trwało tylko chwilkę małą, krótką, jak owo mgnienie oka, które potrzebnem było, aby objąć obraz kochanków.

Kobieta wyrwała się z objęć Augusta i jakby przestraszona własnem zapomnieniem, cofnęła się wstecz, oblewając rumieńcem swe lica i wzrok spuszczać ku ziemi.

August z wyciągnionymi jeszcze ramionami

stał zapatrzony w tę kobietę, jakby w widziadło czarowne.

Istotnie też postać ta niewieścia podobną była raczej do wytworu zachwyconej, poetycznej imaginacji, do królowej snów cudownych, niż do zwykłej ziemskiej istoty.

Oblana strugami księżycowego światła, którego nie łamał stłumiony promyk lampy, palącej się obok grupy wazonów kwiatowych, opromieniona była nadzwyczajnym, niewysłowionym urokiem.

Gabryela, bo tak ją nazwał August, liczyć mogła zaledwie lat siedmnaście. Wysokiej postawy, budowy ciała nieporównanie nadobnej, na którą składały się zarówno i rozkoszny, upajający powab kształtów, i powiewna, eteryczna lekkość, miała twarz ujętą w owal klasycznej poprawności, owianą owym, szydzącym z opisów wszelkich, puchem wiosnianej, świetlanej jakiejś świeżości.

Od białości cery, z lekka jakby odblaskiem różowej jutrzenki okrytej, od bujnych splotów jasnych włosów, odbijał karmin ust, z wdziękiem rozkoszy zarysowanych, i ciemny płomień dużych oczów, w których dość było głębi, dość wyrazu, aby pomieścić w sobie łagodność dziecięcą obok zapału namiętności, słodycz niewieścią obok blasku energicznej i silnej duszy.

Idealną prawie harmonią łączył się w tej postaci niewinny, dziewiczy powab pierwszej młodości z ponętym czarem skończoności kobiety, wyraz słodyczy i słabości z śmiałością piętrem decyzji i, rzecz

można, heroizmu, który jest jedną z tajemnic szlachetnych charakterów niewieścich.

— Panie Auguste — odezwała się Gabryela, chłonąc z pomieszania — szalonego kroku kazałeś mi się dopuścić. List twój, tak rozpaczliwy, tak pełen zaklęć gwałtownych, skłonił mnie, że cię tu czekałam. Lecz nie pojmuję, dlaczego obrałeś tajemnicę nocy i ten awanturniczy sposób... Moja matka nie wie wprowadzić nic o naszych stosunkach, bo ty mi jej zwierzyć się nie dozwoliłeś, ale mimo to, widzieć się mogliśmy, jak to dawniej bywało.

— Czemu przybywam pod osłoną nocy, czemu staję przed tobą jak tajemniczą zagadką, Gabryelo? — odparł z bolesnym uśmiechem August. — O wiedz, aniele mój, że przybywam cię widzieć może po raz ostatni... że spokój i bezpieczeństwo nie dla mnie... Jestem rozbitkiem i wygnańcem, podwójną klątwą pędzony: boleścią po Ojczyźnie, którą widziałem tam, na błoniach skrwawionych, jak wśród jęku ginących swych obrońców upadała pod stopą wrogów... i klątwą własnego cierpienia!

Gabryela patrzyła na Augusta z wyrazem bolesnego współczucia, które jakby aureolą smętną okryło jej oblicze. Opierając się na ramieniu kochanka, słuchała słów jego z łkaniem tłumionem.

— Przybywam jako zbieg, jako tułacz, który uszedł sromocie, powolnemu udręczeniu, śmierci może. Chciałem cię widzieć raz jeszcze, jedyną, najdroższą moją, nim mną rzuci daleko igrzysko losu... nim umrę...

— I przybyłeś, aby katusze zadać memu sercu, tęsknotę zmienić w boleść, nadzieję w rozpacz... Przystań Auguście. Bój ustał... z losem pogodzić się trzeba... Zostań przy mnie, nie opuszczaj mnie.

— Gdyby mnie gnały Furye piekła, na to wezwanie stawilibym im czoło i chroniąc się pod dłoń twą anielską, pod opiekuńczy promień oczu twoich, zostałbym... Ale nie... to być nie może... ja muszę, muszę cię opuścić!...

Głos Augusta drżał przy tych słowach całą burzą szaloną uczucia, twarz jego grała wyrazem uniesienia i bólu zarazem.

— Nie rozumiem cię, nie pojmuję... — odezwała się Gabryela. — Auguście, ty kryjesz się przede mną, ty nie uważasz mnie godną ufności... Jakaś tajemnica osłania cię przede mną, a tajemnica ta staje między mną a tobą, jak mara i dreszczem przeczucia i lęku mnie przejmuje!

— Auguście, zostań — dodała głosem, w którym przebijała się cała siła uczucia — ja cię kocham i niema zapory takiej, którejby nie przełamała miłość moja. Jam słaba kobieta, ale zdobędę się na siłę, na heroizm dla ciebie. Matka moja kocha mnie, ona nie zechce zadać gwałtu memu sercu, gdy się przed nią z swych tajemnic wypowiedzi. Nieprawdaż, ty zostaniesz, drogi mój...

Słowa te, zamiast poić szczęściem Augusta, zdawały się sprawiać mu niewypowiedziane męczarnie. Milcząc pasował się z sobą, rzucony na igrzysko najgwałtowniejszego wzruszenia.

— Miłość nasza jest zagrożoną — mówiła dalej Gabryela — ty nie wiesz wszystkiego. Drogę do ciebie zastępuje mi człowiek, którego ty nie znasz może, ale który opanował umysł mej matki i stał się panem jej woli... Auguście, czy moje siły wystarczą, aby wytrwać, jeśli mnie opuścisz? Lada dzień, lada chwia stać się mogę ofiarą nalegań matki, ofiarą przymusu i gwałtu człowieka, który mnie zgrozą przejmuje, którego namiętność nie zna granic i nie wybiera w środkach.

— Boże mój — szepnął głuchym tonem rozpachy August — czyż nie znajdę wyjścia żadnego! Męstwa, Gabryelo, męstwa! — dodał głosem silniejszym — o! ty wytrwasz mimo wszelkich burz, jakieby przyjąć miały! Przyjdzie dzień słońca, dzień tryumfu, i stanę przed tobą śmiało, i nazwę cię moją, a nikt... nikt! na Boga! nie ośmieli się stanąć między nami!

Słowa te wyrzekł August z zapalem, z uroczystym naciskiem przysięgi. Zapal ten zdawał się wlewać także otuchę w duszę Gabryeli, i twarz jej zapłonęła odbłaskiem tego uniesienia, jakie było z oczów kochanka.

Nowy uścisk przeciągły, upajający, namiętny, splótł ich ramiona i oba serca zagrały jednym, zgodnym tętnem najwyższego uczucia.

W tejże samej chwili dało się słyszeć stapanie i drzwi, prowadzące z pawilonu do wnętrza dworu, skrzypnęły z lekka.

Gabryela wyrwała się z objęć Augusta i z przerażeniem spojrzała w stronę odgłosu.

We drzwiach ukazała się wysoka postać starca.

Był to człowiek, mający lat około siedm dziesiąt. Wysoki był, chudy i kościsty, ale trzymał się sztywnie i prosto. Twarz jego nosiła na sobie znamię późnej starości, nie była jednak zgrzybiała, krasił ją nawet rumieniec zdrowia, ale uderzała rykami ostremi i surowemi.

Na twarzy tej ponurej malowały się zawziętość i energia, a siwy, bujny wąs, spływający na dół po policzkach, nadawał jej marsu, który podnosiło jeszcze bardziej wysokie, silnie sklepione, chmurą okryte czoło, podgolone z polska i najeżone ostrym, gęstym a białym, jak mleko, włosem, sterczącym, jak grzebień, na ciemieniu.

Starzec ten ubrany był w kurtę z grubego, granatowego sukna, zapiętą na stalowe guziki bez połytku i przepasaną amarantowym, wełnianym pasem, nogi jego tkwiły w szerokich szarawarach i wysokich, palonych butach.

Kiedy stanął w progu i ujrzał przed sobą kochanków, cała postać jego wyrażała z początku najwyższe zdumienie i przerażenie prawie, które przykuło go do miejsca, zda się oddech i głos mu zatamowało w piersiach.

Wkrótce jednak wrażenie to ustąpiło innemu uczuciu. Twarz starca oblała się ciemnym rumieńcem, bił z niej gniew jakiś namiętny, straszliwy, oczy

wystąpiły z swej osady i, gorejąc płomieniem, siałą grozę; ostry, podstrzyżony włos na głowie zdawał się jeżyć jeszcze bardziej, dłoń jedna ścisnęła się kurczowo w pięść, druga groźnie wzniosła się do góry.

Tak stał chwilę, groźny, straszny, majestatem oburzenia oblany i milczał. Nagle posunął się szybko naprzód zmierzył okiem pełnym nienawiści i gniewu Augusta.

August zbladł, zadrzał, ale spojrzenie to wytrzymał. Gabryela, opierając się jednym ramieniem o wysoki gierydon, drżąca cała, pomieszana, zdawała się być blizką omdlenia.

Starzec widocznie pasował się z sobą, aby nie wybuchnąć, dobywał sił wszystkich, aby pokonać gniew, który go porywał.

Przez zaciśnięte usta jego przedarł się mruk stłumiony, z którego rozróżnić można było tylko słowa:

— *Horror... horror!*

Potem, zwracając się do Gabryeli, wziął ją za ramię i siląc się do łagodniejszego tonu, rzekł półgłosem:

— Panno starościanko, opuść nas!

Słowa starca obudziły Gabryelę, postać jej zadrżała ruchem przest్రachu.

— Łukaszu, panie Łukaszu — szepnęła — miej litość nade mną.

— Opuść nas, wychodź natychmiast! — ozwał się bardziej już podniesionym głosem starzec. — Do-

puszczenie to Boże... ty go nie pojmujesz, tyś niewinna, ty nic nie wiesz może... Ale opuść nas, zostaw mnie z nim tutaj!

I biorąc ją pod ramię prowadził ku drzwiom, łączącym pawilonik z wnętrzem dworu.

Gabryela, oparta o ramię starca, postąpiła kilka kroków błada, struchlała i bez siły oporu.

August stał tymczasem nieruchomy, a obok wzburzenia, postać jego wyrażała bolesną, rozpaczliwą rezygnację. Wyglądał jak człowiek, nad którego głową zawisała czarna, piorunna chmura i który wie, że grom wypadnie mu z niej na czoło.

Gabryela, zbliżając się już ku drzwiom z Łukaszem, zatrzymała się, zwróciła głowę ku Augustowi, jakby go chciała pożegnać spojrzeniem.

— Panie Łukaszu — szepnęła do starca, opierając mu się — wysłuchaj mnie... Jam winna, żeni się matce mej dotąd nie zwierzyła, ale to jedyna moja wina — dodała z dumą. — Powiem jej wszystko, a ona mi przebaczy i on tu zostanie... on... bo ja go kocham...

Twarz starca na słowa te przybrała jeszcze straszniejszy wyraz oburzenia i grozy. Chwycił on silnie ramię Gabryeli i zawołał stanowczym głosem:

— Milcz, na świętego Boga, milcz, panno starościanko! Ty nie wiesz nic! Ale niechajby słów twoich nie słyszał ojciec twój w grobie! Słuchaj mnie: jam sługa wasz, który do ciebie nigdy dotąd nie śmiał przemówić tak, jak teraz przemawia. Ale oto teraz mówię ci, panno Gabryelo: ty go już nigdy

nie ujrzysz, nigdy, nigdy, tu na świecie! Między nim a tobą stanie Bóg straszliwy, położy się siwa głowa moja, nie splamiona dotąd, jak cześć domu waszego! Grób stanie między wami i otworzy się, aby świadczyć przeciw temu związkowi! Uchodź stąd, uchodź!...

— Łukaszu — szepnęła Gabryela — nie pojmuję cię! Twoje słowa okropnym lękiem ściskają moją duszę! Co znaczą twe słowa, co myślisz uczynić?...

Starzec, który dotąd drżał od najwyższego wzburzenia, usiłował uspokoić się.

— Nie powiem ci nic więcej, panno Gabryelo — rzekł głosem łagodniejszym — ale zaklinam cię, zapomnij, zapomnij o nim! Chodźmy!

I z lekka ciągnąc za sobą struchlałą Gabryelę, wprowadził ją do pokojów.

Drzwi z pawilonu wiodły do małej sali, z której znowu w trzech różnych stronach znajdowały się podwoje do dalszych pokojów. Starzec otworzył drzwi jedne. Był to mały pokój, na którego ścianie jednej, naprzeciw wchodu, płonęła lampa, oświetlając obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Przed obrazem stał klęcznik.

— Tu, panno starościanko — odezwał się uroczystym głosem starzec — tu, przed Najświętszą Panią, przysięgnij sobie, że go zapomnisz, tu szukaj ulgi dla serca, jeżeli jest uciśnione, i tu szukaj przebaczenia... jeżeli go potrzebujesz...

Gabryela chciała przytrzymać za ramię starca, chciała przemówić doń... ale siły ją opuściły i zsunięła się bezwładnie na klęcznik, łkając cichym płaczem...

Starzec tymczasem wyszedł z pokoju, zawołał cichym głosem z sąsiedniej izby pokojową i kazawszy jej ich do panny, sam wrócił do pawilonu.

August stał nieporuszony na tem samem miejscu. Starzec śnać nie spodziewał go się już zastać, gdyż na widok jego drgnął i z zdumieniem zatrzymał się w miejscu. Chwilę tak stał — ale nagle twarz jego oblała się ponsem, a oczy groźnie znowu błysnęły z pod gęstych, najeżonych brwi.

— Zastałem cię jeszcze! — zawołał, przystępując bliżej. — Czy strach cię przykuł do ziemi, że nie uciekłeś!

— Nie uciekałem nigdy i przed nikim—odparł August — i przed tobą uciekać nie będę, panie Łukaszu!

— I przed temi progami, do których ty wiesz, jakie się dla was wiążą wspomnienia, nie uchodzisz, mości podkomorzycu? I przed moim wzrokiem nie, i przed własną infamią nie? To sromotny animusz, to bezczelność jest, młokosie...

August drgnął na te słowa i groźnie wznosił czoło do góry.

— Hamuj się! — odparł, głos tłumiąc — hamuj się na Boga żywego! Jestem nieszczęśliwy, bezbronny, winny może jestem, ale strzeż się starcze!

— Ty grozisz mi, nędzny! — odrzekł starzec gwałtownie, a potem siląc się na spokój, głosem powolnym, lecz z strasznym naciskiem dodał: — Słuchajże śmiało ty! Patrz — tu wydobyl z kieszeni swego kubraka krucicę — mógłbym ci strzelić w łeb, jak psu, a dusza moja nie obciążałaby się grzechem... Byłby to odwet słuszny i za winę ojca twego, i za twoją, panie podkomorzycu!... Mógłbym cię zabić, a może powinienbym cię nawet zabić, boś zdradą nikczemną stanął na progach tego domu, boś chciał zakłócić spokój jego i wnieść weń nieszczęście! Chciałeś być mordercą córki, jak ojciec twój był mordercą...

— Milcz! — przerwał August, rzucając się na przód.

Starzec wyciągnął dłoń z krucicą i wymierzył w młodzieńca.

— Strzelaj więc, strzelaj, panie Łukaszu! — zawołał August. — Patrz, urągam tobie, strzelaj. Nie masz odwagi zabić mnie — dodał z gorącością — a masz odwagę miotać słowa, z których każde straszniejszym jest i lepiej w serce godzi, niż kula!...

— Gdyby te słowa cię zabijały, podkomorzycu — rzekł z szyderym uśmiechem starzec — to dawnobyś już nie żył! Czyż tych słów nie szepce ci ciągle własne sumienie? A przecież żyjesz jeszcze.

— Moje sumienie czyste jest; jeżeli zawinił, to miłością, a Bóg miłości wodzem. Nie zdrada wprowadziła mię w dom ten, ale miłość, która sil-

niejszą jest, niż wszystkie zapory, niż ta straszna potwarz, co pełza jak gad jadowity...

— Ty mówisz, że sumienie twoje czyste! Czyż nie wkradłeś się tu pod skłamanem nazwiskiem, czyż nie usiłowałeś podejść serca Gabryeli? Czyż ty nie wiedziałeś, człowieku, jaka klątwa ciąży na twojem imieniu i jakie okropne wspomnienia stoją między nią a tobą?

— Przysięgam ci — zawołał August — że w pierwszych chwilach miłości naszej nie wiedziałem! Później... tak później dowiedziałem się, ale było już — za późno... Nie umiałem poskromić serca, uciekłem się do kłamstwa.

— O tyś nie winny, panie podkomorzycu — rzekł starzec z naciskiem okropnego szyderstwa — tyś tak nie winien, jak ojciec twój, którego imię wraz z klątwą infamii nosisz, jak pan podkomorzy Szczytowski, zdrajca Ojczyzny i morderca ś. p. pana starosty.

— To fałsz, fałsz okropny, ohydny! Ta potwarz straszna zmilknie... ją ją zgładzę, wyświecę, a biada sprawcom tej srogiej krzywdy! Ona o pomstę woła do Boga i Bóg wysłucha jej głosu! To fałsz jest szkaradny, starcze, i nie spocznę, dopóki go nie wykryję! Ojciec mój był niewinny; dziś mam to święte przekonanie, jutro dowody mieć będę... Bóg mi dozwoli tryumfu, i ty, ty sam, panie Łukaszu, straszną skruchą się przejmiesz, odwołasz to, co twierdzić się ośmieliłeś!

August wymówił te słowa z takim uniesieniem namiętnem, a zarazem z takim głębokim naci-

skiem bólu, że w oczach starca zabłysnął na chwilę wyraz współczucia. Stał milcząc i wzrok od młodzieńca odwrócił, jakby się obawiał zdradzić tę słabość swoją; ale wkrótce podniósł wzrok swój w górę i uroczystym rzekł tonem:

— Tam, przed strasliwym Majestatem Bożym, spotkali się zapewne już obadwaj... On sędzić będzie...

— Amen! — zawołał August — On sędzić będzie, a sąd Jego padnie klątwą na głowę haniebnych potwarców!

— Dość tego! — ozwał się surowym i uroczystym głosem starzec — tu, na ziemi, między domem tym a tobą nie ma przymierza! Powtarzam: ja ciebie zabić byłem powinien. Gdy mi pan Szczepan Rozworski opowiedział wszystko, gdy mi oznajmił o swoim odkryciu, żeś to ty Szczytowski, syn tego, któremu niechaj miłościw będzie Sędzia Najwyższy, czułem pogardę dla siebie, że na widok twój, a tyle razy widziałem cię przecież, nie zawrzała mi krew, i żem w twarży twej nie odszukał rysów człowieka, który tak okropnie wpisał się w dzieje tej rodziny osieroconej.

— Idź tedy — mówił po małej pauzie — idź panie podkomorzycu, i niechaj noga twoja nigdy już nie stanie na progach domu tego, niech się nawet myśl twoja tu nigdy nie zabłąka! Słuchaj, ja nic jej nie powiem! Ona nie dowie się nigdy o tej okropnej tajemnicy... I matka nie powie jej także, choć wie o niej. Ale i ty, panie podkomorzycu, nie igraj

z dopuszczeniem Bożem! Twoja stopa nigdy tu nie stanie, twoje usta nigdy nie wymówią imienia jej nawet, słyszysz: nigdy! Na to przysięgę złoż, jeśli infamia tylko nazwisko twoje a nie duszę także skaziła! Wszystko niech zginie, jak w grobie! A grobów ruszać nie można, ty wiedzieć o tem powinienes, panie podkomorzycu — bo groby miewają nieraz straszliwą historję!

Gdy tych słów domawiał, drzwi od pokojów otwarły się i w pawilonie pojawiła się wysoka postać kobieca. Była to matrona w sędziwym już wieku.

Twarz jej choć miała na sobie ślady lat zgrzybiałych, a jednak imponowała wyrazem wyniosłym i surowym. Siwe całkowicie włosy odbijały od czarnej sukni i takiegoż szarafanu, a strój ten prosty, żalobny, dodawał całej postaci jeszcze więcej poważnego i ponurego wyrazu.

Dama ta, wszedłszy do pawilonu, spojrzała na starca i Augusta i rzekła:

— Od chwil kilku słyszę głosy jakieś w pawilonie. Usnąć nie mogę, wicher jesienny tak przeraźliwie wyje. Łukaszu, kto to jest... Może ktoś z obozu pana jenerała Kościuszki... czemuż go tu przyjmujesz?

Łukasz nic nie odpowiedział, a kobieta spojrzała na naszego bohatera uważniej i zawołała po chwili:

— A! to pan August Narewski... witam waćpana! Kawaler pewnie z obozu, niechże się raczy roz-

gościć... Prosimy, prosimy, opowiesz nam te smutne dzieje, których świadkiem byłeś!

August skłonił się i pochylił czoło, nic nie odpowiadając.

Na starcu zaprosiny damy sprawiły dziwne przykre wrażenie. Drgnął z lekka, a czoło jego okryło się chmurą.

— Pan August nie zostanie! — rzekł głosem stanowczym — nie zostanie ani chwili!

— Czemuż to? — odparła staruszka.— Serdecznie mu radzi jesteśmy, kawalerze... Zostaniesz waćpan, odpoczniesz, panie Narewski...

— Pani starościno — zawołał teraz nagle Łukasz — on tu nie zostanie, nie odpocznie w tych progach... To nie August Narewski, pani starościno, on się tak nie nazywa...

— Cóż ty pleciesz, stary; tu nie ma kreishauptmanów i Niemców, przede mną się maskować nie potrzebuje...

— Ten człowiek — zawołał teraz starzec — nazywa się Szczytowski... To podkomorzyc, starościno!

Dama w czarnym stroju cofnęła się nagle i wydała okrzyk przerażenia...

— Co mówisz, szalony... — szepnęła po chwili.

— Mówię prawdę... Nie, on tu nie zostanie, starościno, nieprawdaż?

Starościna spojrzała groźnym wzrokiem na Augusta a potem na Łukasza, jakby chciała wybać go jeszcze. W posępnej, surowej spojrzeniu

starego sługi znaleźć można było tylko uroczyste potwierdzenie słów wyrzeczonych.

Starościna postąpiła krok naprzód, wyprostowała się w całej wyniosłej swej postaci, i spojrzawszy na Augusta wzrokiem groźnym i dumnym, wskazała ręką wyciągniętą na drzwi.

Słówko żadne nie uleciało przytem z ust jej zaciśniętych — ale gest ten był tak wymownym, tak rozkazującym, tak pełnym uroczystej, przenikającej grozy, że sam stary sługa z lękiem pewnym spozierał na swoją panię.

Gest ten niemi zdawał się wywierać na Auguste straszniejsze wrażenie, niż przedtem wzrok pałający srogim gniewem Łukasza, niż lufa pistoletu, którym mu groził, niż słowa owe okrutne, które mi przemawiał...

Bohater nasz zadrżał, chciał coś przemówić, chciał zostać, ale jakby wypychany jakąś potężną, magnetyczną siłą, porwał się z miejsca i wydając z piersi jęk stłumiony, wybiegł z pawilonu.

Biegł tą samą drogą, którą przybył, biegł, jakby ścigany przez Furię...

Postać jego przez chwilę tylko zarysowała się na tle nocnego mroku wśród drzew alei, które szamotane przez wicher, wydawały skrzyp jakiś ponury.

Dziwaczne, poszarpane szmaty chmur pędziły po niebie, pływając na falach księżycowego światła; coraz silniej zrywający się wicher jesienny puścił się tańcem po polach i jakby w zмовie był z gnie-

wną matroną, gonił uchodzącego Augusta, igrając płaszczem jego i gwizdem swym huczac mu w uszy, niby echem słów starego Łukasza...

August spieszył dalej przez pola, jakby ścigany straszną jakąś pogonią...

Instynktowo raczej, niżeli z namysłu kierował bieg swój ku karczmie na Czekaju... Niebawem znalazł się tuż w jej pobliżu.

Pod wierzba, która rosła o kilka kroków od karczmy, siedział Mykita. Głowę swą ukrył on w dłoniach i płakał rzewnie, głośnem zawodząc łkaniem...

Gdy usłyszał kroki jakieś spieszne, podniósł twarz do góry, otarł łzy, spływające mu rzęsicie po policzkach, a gdy ujrzał Augusta, powstał i wybiegł naprzeciw niego, zachodząc mu drogę.

August nie spostrzegł go i zatrzymał się wtedy dopiero, gdy go Mykita za ramię ujął.

— Kto to? — zawołał August, budząc się niejako z bezprzytomności.

— To ty? — dodał, patrząc zdziwionem okiem na eks-żołnierza — to ty Mykita?

— Ja mój paniczu, ja nieszczęśliwy — odparł chłopak tonem, w którym drżała żalność jakaś głęboka, bolesna.

— Co tu robisz? Czego chcesz? — zapytał August roztargnionym i zadyszczanym głosem. — Czy potrzebujesz jeszcze czego ode mnie?

— Niczego, paniczu, niczego... Czegoby jeszcze teraz było mnie potrzeba na świecie...

— Byłeś we wsi i wróciłeś już?

— Byłem, ale ot, za późno! — odparł Mykita. — Leciał ja tam, jak ptak, a przyszedłem zapóźno... Już ja tam nie mam co robić...

— A matka twoja?

— Oj, niema jej już na świecie, sieroty!

— Umarła!

— Umarła — potwierdził Mykita, zawodząc rzewnym płaczem. — Już mnie się nie doczekała, biedna! Dwa tygodnie temu, jak ją wywieźli na cmentarz. Już ona pod ziemią surową! A mówili ludzie, że tak za mną tęskniła, ta oczy wypłakiwała, ta przy śmierci o mnie wspominała: czy przyjdę, czy zobaczy mnie jeszcze... biedna, nieszczęśliwa moja matka!

I rzewna, rozżalona dusza pocziwego Rusina wylała się całą elegią wyrzekań, prostaczą, ale serdeczną i przejmującą...

August z szczerem współczuciem patrzył na Mykitę.

— Cóż teraz poczniesz, biedny? — zapytał.

— Alboż ja wiem nieszczęsny! — odrzekł Mykita — mnie już teraz świat czarny, jak noc. Ja już teraz i na śmierć gotów, ja już teraz sam się postawię do *Krygsrechu*, niech mnie zastrzelą, albo zamęczą... Toć chyba wy mnie ze sobą weźmiecie, paniczu złoty...

— Ja pójdę daleko, daleko, na kraj świata i nie wrócę pewnie; na obcej ziemi zginę. Czyż chciałbyś iść ze mną?

— O weźcie mnie, weźcie — prosił Mykita — i ja pójdę na kraj świata i zginę z wami! Cóżbym ja tu począł sierota?

— Dobrze tedy — zawołał rozczulony August — chodź ze mną wierny, biedny mój towarzyszu niedoli. Chodź i zapomnij umarłych — dodał z cicha, jakby do siebie — jak ja zapomnieć muszę żywych. O, to drugie zadanie cięższe i boleśniejsze!

Niebawem wyjechał z karczmy ten sam wózek chłopski, który przywiózł Augusta i Mykitę, i obaj ruszyli w drogę.

Gdy chłopiek zaciął konie, August zwrócił się ku staremu dworowi i żegnał go bolesnem westchnieniem, Mykita ku wsi swej rodzinnej puścił wzrok smutny, ku chacie owej biednej, w której nie było już matki i w której wygasło nazawsze ognisko.

VI

Wokanda pana Nemezego Kapicy.

Opuścić musimy teraz na czas jakiś naszego bohatera i jego towarzysza. Przeniesiemy widownię napowrót do Lublina, gdzie się odegrały początkowe sceny tej powieści.

Czytelnicy nasi raczą sobie przypomnieć ów dziwny wypadek, który w dzień bitwy maciejowickiej zdarzył się na polu za miastem. Cofniemy się teraz napowrót do owego dnia, a nawet uprzedzić nam wypada chwilę, kiedy zwłoki starego konfederata, który, nadsluchując echa dalekich strzałów, jakby od przecucia kłęski skonał tak nagłą i cichą śmiercią, zabrali do kolasy i zawieźli do miasta dwaj opisani przez nas ludzie.

Musimy zabrać nieco bliższą znajomość z obiema temi postaciami, które już samą zewnętrzną swą oryginalnością zdolne były zająć uwagę ciekawszych czytelników.

Na jednej z ulic ubocznych, wybiegających z rynku, w kamienicy brudnej i starej, znajdowała się apteka. Nad wchodem do niej przybita była duża tablica, na której wymalowany był ponuremi

farbami Eskulap, obok niego zaś węże pijące. U dołu tablicy znajdował się pompatyczny napis łaciński, objawiający przechodniom, że oficyna ta farmaceutyczna należy do Tobiasza Szmoka, wyzwolonego, dyplomowanego, przesławnych niemieckich akademij, przesławnym patentem obdarzonego, magistra.

W samej aptece za ladą nie było żadnego mężczyzny, ale uwijały się dwie wysokie, chude kobiety, nie pierwszej już młodości, o jasnych włosach, długich, wklęsłych policzkach i niepospolitej wielkości zębach. Jedna z tych dwóch kobiet czytała uważnie receptę, przyniesioną przez jakiegoś młodego Żydka; druga zajęta była mieszaniami jakiegoś świeżo odwarzonego płynu; obie zaś krzyczały ostrym dyszkantem do siebie i na bladego, obrzękłego laboranta, mieszając do słów swoich łacińskie nazwy rozmaitych aptecznych materyałów.

Były to dwie córki samego pana aptekarza, przesławnym patentem przesławnych akademij niemieckich zatwierdzonego magistra, który wyuczył je swej sztuki, powierzając im zwykłą ekspedycję medykamentów.

Pan Tobiasz Szmok bowiem od lat kilku zaniedbał codziennych czynności swego zawodu, zachowując sobie jedynie oddział trucizn i prawo interwencyi w kwestyach wątpliwych, zwłaszcza, jeżeli kwestye te doprowadzały obie nadobne adeptki do zbyt gwałtownych i głośnych dysertacyj naukowych. Sam zaś pan Szmok oddawał się z namięt-

nem zamilowaniem alchemii, umiejętnościom magicznym a przedewszystkiem — gorącym trunkom.

Kordyały te spirytualne zwykł był fabrykować własnoręcznie, według rozmaitych sekretnych przepisów, których sam był wynalazcą — to też słynał on w Lublinie i w całej okolicy z przyprawy najrozliczniejszych wódek i likworów, win korzennych, esencji i t. p., których nie jedynym wprawdzie, ale najgłówniejszym przecież był konsumentem.

W drugim pokoju, przytykającym do apteki, znajdujemy samego pana Szmoka. Jest to ten sam dziwaczny Niemczyk z garbem na grzbiecie, z olbrzymią kudłatą peruką na głowie, którego poznali czytelnicy w pierwszym rozdziale w towarzystwie starego dragala w kontuszu, o barwach trybunalskich.

Pokoik, w którym pan Szmok przebywał, był ciemny, sklepiony, a urządzenie jego miało na sobie cechę dziwactwa i fantastyczności. Obok kominka, na którym gorzał wieczny ogień, leżały w nieładzie najrozmaitsze narzędzia i przybory alchemiczne; u pułapu wisiał mały wypchany krokodyl na żelaznych łańcuchach; na szafach, zapelnionych olbrzymiami, zapleśniałymi foliałami, stały trupie główki; na stołach, stolkach i oknach piętrzyły się szklane rury, rurki i retorty, powydymane w najdziwniejsze kształty, i zielonawym połyskiem świeciły słoje, napełnione spirytusem, konserwującym gady i węże.

Sam gospodarz, którego twarz szpetna i gąb-

czasta oblała się szkarłatem od ognia, nad którym syczał płyn jakiś, ubrany był tylko w koszulę i pluderki czarno-szkliste, niecierpliwł się ogromnie nad swoją robotą, która mu się widocznie nie wiodła. Zniecierpliwiony do reszty, pan Szmok wylał nagle płyn na żar komina, z którego buchnął zaraz wysocki, jaskrawy płomień błękitnawego koloru i uderzając nogą gniewnie o ziemię, chwycił oburącz za swą kudłatą perukę, a zerwawszy ją z głowy, rzucił w przeciwległy kąt pokoju, gdzie ugrzęzła na głowie ustawionego tam kościotrupa.

Na tym wybuchu gniewu kończyła się zawsze codzienna eksperymentalna praca nad jakąś „esencją wieczystego zdrowia“, którą pan Szmok obiecywał jutro w zupełności spreparować. Takimi „jutrami“ wypełnionych było lat kilkanaście życia naszego magistra i alchemika.

Odsapnąwszy nieco z uniesienia, przystawił Szmok do ognia duży, żelazny garnek, z którego tym razem nie rozwiewały się ostre, narkotyczne wonie chemikaliów, ale bił ponętny zapach wina, zaprawnego korzeniami, a sam przysunął głębokie krzesło z wysokimi poręczami do komina i obcierając pot z swej gołej, jak kolano, głowy, przypatrywał się w zamyśleniu zawieszonemu na powale krokodylowi, z którego rozwartej paszczy wyglądały duże zwitki pergaminów.

Po niejakiem czasie, spojrział Szmok na stary zegar na kominie, jakby kogo oczekiwał. Zegar ten formą swą i pomysłem mechanizmu harmonizował

z całym fantastycznym przystrojeniem pokoju, a śnać lubował się w nim pan magister. Był on z brązu ciętego w arabeski, a na wierzchu jego znajdowała się głowa z twarzą maskarową, która za każdym poruszeniem wahała się, kiwała się, przytakując.

Szmok nieraz całymi godzinami siadywał przed tym zegarem i odkiwywał głową maskarze, mianowicie było to u niego zazwyczaj wstępem do drzemki. I tym razem byłby może Szmok zadrzemał, mimo ponętnego zapachu grzanego wina, gdyby nie otworzyły się drzwi i nie wszedł do pokoju jakiś mężczyzna.

Był to ów znany już także czytelnikom naszym z opisu w pierwszym rozdziale chudy, wysoki starzec, w wypłowiałym, niebieskim kontuszu z karmazynowymi wylotami, z twarzą zeszcpeoną bliznami i z przełamany ukośnie nosem.

Pan Nemezy Kapica, — tak się zwał przybyły — obok aptekarza Szmoka był znany całemu Lublinowi z oryginalności swojej figury.

Łacińskie przysłowie: *nomen et omen* wybornie się stosowało do tego dziwnego starca. Nazywał się Nemezy, a życie całe swe sterał na usługach Nemezis, bogini, karzącej sprawiedliwości.

Stary Kapica, pochodzący z drobnej podlaskiej szlachty, od lat kilkudziesięciu, z wyjątkiem dwóch lat spędzonych w obozie konfederackim, był woźnym przy Najjaśniejszym Trybunale Lubelskim. Do urzędu swego przywiązywał on zawsze niezmierną wagę, będąc tego najmocniejszego przekonania, że

stanowi on równie znakomity czynnik sprawiedliwości, co urząd marszałka lub deputata.

Znał on najdawniejsze dzieje Najjaśniejszego Trybunału, zarwał trochę prawa, osłuchiwał się jurydycznej retoryki, obznajomionym był z wszystkimi tajemnicami palestranckiego życia, pamiętał wszystkie najważniejsze sprawy sądowe w trybunale od roku 1750, a nawet i wcześniej, bo przejął także tradycję — zgoła zrosł on się duszą całą z trybunalską instytucją, z jej powagą, jej splendorem i jej zewnętrzną, ceremonialną stroną.

Od długiego czasu nie pełnił już Nemezy swych obowiązków, bo z powodu ustawicznych rozruchów lat ostatnich, nie fungował trybunał; ale mimo to uważał się on zawsze za woźnego w czynnej służbie, nie zrzucił ani miny urzędowej, ani stroju o barwach trybunalskich, i nie tracił nigdy nadziei, że kiedy dzień reasumować się będzie Najjaśniejszy Trybunał Lubelski.

Niestety, nadzieje te spełzły na niczym; od terminu reasumpcyi, który przypadał zawsze po przewodniej niedzieli, minęło pół roku, już nawet za kilka tygodni przypadał dzień Ś-go Tomasza, w którym to dniu limitowała się, t. j. kończyła zazwyczaj kadencya, a o trybunale ani słyhać było. Czekał tedy dalej pan Nemezy, a tymczasem szukał pociechy tam, gdzie jej pan magister Szmok szukał po swych ciągłych zawodach alchemicznych.

Ta skłonność do kieliszka była jednym z powodów zażyłości, w jakiej Nemezy zostawał z panem magistrem. Stary woźny wstydził się jakoś pić w prostym szynku, zakrapiał tedy doczesnego robaka w aptece, pod pozorem, że leczy żołądek ziołowemi wódeczkami preparatu p. Szmoka, który miał się sam i przez wielu innych uważanym był za lekarza nad lekarze, adepta umiejętności sekretnych i właściciela przemnogich, tajemniczych a cudownych środków medycznych.

Zachadzał tedy stary codziennie przed południem do Szmoka, gdzie już czekał go jakiś nowo spreparowany likwor, za który pan magister bardzo tanio kazał sobie płacić, klnąc się straszliwie, że mu cena żądana nie zwraca nawet w części kosztów wyłożonych na owe ingrediencye przeróżne, jakich potrzeba było, aby z podłego gorącego trunku zrobić cudowny likwor medyczny, a nałóg zmienić w szlachetną i gorliwą dbałość o zdrowie.

Pan magister lubił się jednak zapominać czasami, i wieczorem, niby to dla pogawędki, zachadzał i do publicznej winiarni, a wtedy pan Nemezy, jedynie z poświęcenia przyjaźni, udawał się tam także, aby odprowadzić do domu magistra, „bo—jak powiadał—pocziwe Niemczysko nie trafiłoby do apteki“. To też co drugi dzień prawie zdarzało się spóźnionym przechodniom spotykać około północy obu przyjaciół, trzymających się pod boki i perorujących głośno i sierzdiście. Szmok w takich chwilach nie

mówił do nikogo, nawet do Nemezego; nie rozmawiał, jak tylko z księżycem, któremu zawsze miał mnóstwo rzeczy niezrozumiałych do powiedzenia, podczas gdy Nemezy ograniczał się na tubalnym, a ustawicznym wołaniu:

— Mości panowie, ustąpcie się! Mości panowie, uciszcie się! Mości panowie, na ustęp, na ustęp, mości panowie!

Przy tak bezczynnym trybie życia, wychudł pan Nemezy jeszcze bardziej, jak szczypa zesechł z tęsknoty za trybunałem. Owe czerwone blizny na twarzy jego przybierały coraz gorętszą, karmazynową barwę, a złośliwi ludzie przypisywali to zbyt gorliwemu zażywaniu medykamentów pana magistra Szmoka.

Gniewały srodze te pogłoski starego woźnego i odpierać je zwykł był energicznie.

— Uciszcie się, mości panowie! — mawiał, ilekroć słuhać go chciano — te blizny, to honorowe oznaki! Blizna zdobi żołnierza, mości panowie. Mam ja blizny na piersiach od spis kozackich, bom razem z J. W. P. deputatem był w Barskim Związku dwa lata z górą, ale te znaki na twarzy niemniej są honorowe. Ten oto, tu obecny Szmok, magister poświęcić może, bo mnie leczył... Azardowałem się ja *pro dignitate* Najjaśniejszego Trybunału nieraz i dwa razy.

— Było to, mości panowie, *anno Domini* 1784—ciągnął w takich razach dalej opowieść swą pan Ne-

mezy — na wokandzie ordynacyjnej *de jure haereditatis et possessionis* stała sprawa J. O. Ksawerego Branickiego, w. het. kor., *contra* J. O. książąt Jabłonowskich o Luboml i Lisiankę. W trybunale właśnie sędzono tę sprawę, a pan hetman z dworem swym czekał na wyrok na Krakowskim Przedmieściu. Wyrok ferowano na jego niekorzyść. Srodze to rozgniewało pana hetmana, każe tedy zapalić swym ludziom kilkadziesiąt pochodzi i ruszać z światłem za nim, wołając:

— Chodźmy szukać pocziwych ludzi!

Dworskiej hałastrze w to graj, a co im waży majestat sprawiedliwości i *dignitas* Najjaśniejszego Trybunału? Nuże tedy na rynek i ku ratuszowi z hałasem:

— Szukamy pocziwych ludzi!

Straż autoramentu cudzoziemskiego, widząc hetmana, wystąpiła pod broń i oddała honory wojskowe, a tak powaga trybunału ogołoconą była z wszelkiej opieki. Kilku z poczty pana hetmana rzuciło się z pochodniami do samego gmachu trybunałskiego, skąd zatrwożeni panowie deputaci z wielkim uszczerbkiem powagi umykać poczęli. Nie miał ja tego dnia żadnej sprawy do obwołania na mojej wokandzie, a byłem u bramy. Kiedy tak widzę, że hetmańscy następują, wołając ustawicznie: „Szukamy pocziwych ludzi!“ — ja, mości panowie, staje u wchodu, rozkrzyżowuję ramiona i wołam:

— Szukacie pocziwych ludzi? Oto znaleźliście jednego pocziwego zaraz u wstępu! Mości panowie, na ustęp! na ustęp, mości panowie! Nie pozwolę naruszać dostojności Najjaśniejszego Trybunału! Po moim trupie chyba tu wtargniecie!

— Wtedy to, mości panowie — kończył swoje opowiadanie pan Nemezy — rzuciło się ku mnie kilku hetmańskich i swemi pochodniami głowę i twarz okładać mi poczęli. Twarz mi srodze opiekli, włosy mi zgorzały i omal co oczów mi nie wypalono; ale nie ustąpiłem ani kroku, aż pan hetman zawołał na swoich i turbować mnie zakazał. Uciszcie się tedy, mości panowie i wiedźcie, od czego Nemezy Kapica, woźny i wokant trybunałski, ma te karmazynowe blizny na twarzy! *Dixi!*

Tak opowiadał pan Nemezy historię swego oszpeca.

Ale wróćmy do pokoju pana aptekarza.

Nemezy, wszedłszy, spojrział najpierw na grzejące się wino, zaciągnął się rozkosznie jego korzennym zapachem, a potem kiwnął głową na przywitanie Szmokowi, który, odwzajemniwszy się w podobny sposób, wstał z krzesła, odstawił wino od żaru i poszedłszy ku drzwiom, prowadzącym do apteki, na klucz je zamknął. Na gzymsie od komina stały już dwie szklanice w pogotowiu.

Pan Nemezy wziął, milcząc, stołek skórą obity, przysunął go do komina, usiadł, umieścił między kolanami nieodłączną swą karabełę, zawiesił na ręko-

jeści czapkę z barankiem, krząknął, zatarł ręce i odezwał się głosem, który się nie pozbył pewnego urzędowego nastroju.

— Szmok! Taki z ciebie doktor, jak z tego ka-
uzyperdy Wołkowicza mecenas! Twoje „arkanówki“
dyabła warte... Żołądek mi nie statkuje, lepszy on
gracz od ciebie; co ty z repliką, to on z dupliką. Jak
tak dalej pójdzie, człek zalimituje niezadługo...

— Oj durniu ty stary, durniu! — odpowiedział
syczącym, zasapanym nieco głosem i niemieckim
akcentem Szmok — w twojej głupia głowa pieprz
tłuc chyba, jak w mózdzierzu... Gdybym cię nie trzy-
mał na tym świecie mojami arkanami, gdzieby ty
był, mospan Kapica... A na czym ty stoisz? Na twoich
nogach może chudych, jak trzaska? A co cię grzeje?
Twoja krew może? Albo ty masz krew? Jak ci nie
dam „arkanówki“, gdzie ty?...

Przy tych słowach, dmuchnął Szmok na wino
i łyknął haust spory. Za jego przykładem poszedł
i pan Nemezy, a odsapnąwszy, replikował:

— Jeszcze w wokandzie niebieskiej nie przy-
szła na mnie kolej, a jak przyjdzie, to i twoja truci-
zna nic nie pomoże! A i jaby nie chciał, przyznam
się aspanu, limitować jeszcze życia! Należy mi się
instygatorstwo, i nie chciałbym umrzeć, póki insty-
gatorom nie zostanie. Toć, do kaduka, trzydzieści lat
jestem już woźnym, i nie lada świadom prac i prak-
tyk trybunalskich. Rozumiem się ja na akcesoryach,

nie obcą mi aktykacya, a statut i korekturę pruską
niegorzej przewertowałem, niż niejeden susceptant!
A zresztą sił trochę jeszcze starczy, a moja wokanda
także jeszcze nie wyczerpana!

Przy tych słowach, wydobyl Nemezy z zana-
drza książeczkę w burej okładce, na której przyle-
piona była biała kartka z napisem: „*Incarcerator*“.
Wokanda Nemezego Kapicy, woźnego przy Najja-
śniejszym Trybunale Lubelskim“.

Książeczka ta, którą woźny terminem pale-
stranckim „wokandą“ nazywał, zawierała rejestr
spraw niezalatwionych, kryminalnych, które byłby
obwoływał na posiedzeniach trybunalskich, gdyby
się kadencya była rozpoczęła.

— A jak się ma pan deputat?—zapytał Szmok,
nie zważając na wokandę Nemezego. — Elixir mój
wypił?

— Pan deputat miałby pić twój eliksir, panie
Szmok! Wylał go za okno... Ale ja tu inną mam
sprawę do ciebie od pana deputata, sprawę bardzo
ważną, gardłową...

— Co? — zawołał Szmok oburzony i oczy je-
go zielonawe zamigotały jakby iskrami — wylał za
okno? Co on sobie myśli o mnie, ten twój deputat?

— Bo ci nie wierzy, panie Szmok, a zresztą on
zdrow, jak ryba, a gdyby był chory, to pewnie nie
ciebieby zawołał, ale Bergonzoniego, bo to doktor
sławny i patentowany...

— Bergonzoni! Bergonzoni! — zawołał, czerwieniąc się od gniewu, Szmok, przyczem twarz jego szpetna wykrzywiła się wyrazem szyderstwa — Bergonzoni głupiec, i doktor Kompers głupiec, i Burian, *der dumme Franzmann!* także, i Hermann także! Ignoranci, kanalia trucicielska! Moja peruka umie więcej, niż oni! Oni mają patent na oślej skórce, a ja tu! — dodał, pukając palcem po swem łyse, wypukłem czole. — Co oni umia, bydłeta? Kto konających dźwiga? — Szmok! Kto umarłych wskrzesza? — Szmok! Kto posiada *arcanum magnum?* — Szmok! Kto jest na tropie sekretu *aeternae sanitatis?* — Szmok! Kto odnajdzie jutro zgubioną tajemnicę eliksiru *vitae?* — Szmok! Czy oni wniknęli w tajemnice natury, w cudowną potęgę alchemii, czy zajęli w mistyczny świat zagadek?

— *Ochsen! Blutzapfer! Pflasterschmierer!* — wołał zaciekle dalej Szmok, posługując się ojczystą swą mową. — Kto pierwszy lekarz? Paracelsus Bombastus! Kto drugi? Tobiasz Szmok! Sławny Szmok! *Wunderdoktor* Szmok! — któremu sam Boerhaven nie wart służyć za cyrulika!

Tak krzycząc dalej, porwał się Szmok z krzesła, zasadził perukę na głowę, odwinął żaboty i począł frak wciągać na siebie.

— Pójdę ja sam do deputata! Już ja się z nim rozmówię.

— Ale poczekajże, Niemcze opętany! — rzekł poważnie Nemezy, przytrzymując za ramię Szmo-

ka — nie zastaniesz go w domu. Wyszedł właśnie za miasto, zachciało mu się posztykulać gdzieś na zwiady, co słyhać z obozu pana Kościuszki. Siadał aspan i siedź cicho. Mam z tobą do pomówienia w sprawie innej, ważniejszej.

Szmok sapał jeszcze od oburzenia i mruczał dalej do siebie samego.

Nemezy dał mu chwilkę czasu na uspokojenie, a potem tak zagał sprawę:

— Panie Szmok, przypominasz sobie dobrze czasy, kiedy cię to konfederaci chcieli powiesić pod Zamościem?

Zapytanie to, przerzucając rozmowę odrazu na inne pole, przerwało ostatecznie dąsy pana Szmo-ka. Zwrócił przenikliwe wejrzenie na starego woźnego i odparł:

— Alem się ich nie bał!

— Boś był nie winien i poręczył za ciebie pan deputat Strzetuski, na którego waćpan tak się właśnie przed chwilą sierdziłeś zawzięcie!

— Mnie pan Strzetuski nie uratował! Ja ani jemu, ani mojej niewinności nie zawdzięczam życia. Moje życie nie na sznurku wisi, ale na konstelacyach tajemniczych, na magicznej wyroczeni, na horoskopie, o którym ty nic nie wiesz, ty *polnischer Wasan!* Ja mam demona, ten demon zawsze przy mnie, zawsze i wszędzie... On patrzy na mnie tu z tego żaru, syczy w tym oto tyglu, stoi za plecami, we śnie na

czole mi siada i do duszy zagląda... Ten demon mi mówił, gdy mi życie odebrać chciano: „Tobiaszu, żyć będziesz“... Ale ty tego nie pojmujesz, co tobie o tem mówić!

Pan Tobiasz, który w zapale machnął pogardliwie ręką, tyknął haust gorącego wina i wlepił swe buro-zielonawe oczka w żar komina.

— Zamknij aspan bezbożne usta, farmazon jesteś i osadziłby cię warto za to *in fundo!* Ja nie o demonach przyszedłem z tobą mówić. Tu chodzi o to, abyś sobie aspan dobrze przypomniał wszystkie przygody, które wówczas przeżyłeś, a mianowicie o to, czy mógłbyś poznać i pomódz do odszukania pewnego człowieka?...

— Co na tem komu zależy po latach dwudziestu!

— Nie znasz się aspan na rzeczy... Ta sprawa cała podobna do procesu, a znam ja procesa, co się toczyły przez lat setkę i prowadzą jeszcze *in infinitum*. Opowiedz mi raz jeszcze pokrótce twoje zajęcia, wszakże je i tak lubiłeś zawsze opowiadać.

Szmok chwilkę pomyślał, tyknął wina i rzekł:

— Co tu jest opowiadać... Co mnie to wszystko obchodzi? Rzecz była krótka i prosta. Jechałem do Zamościa, bo chciałem się widzieć z doktorem Schwindem, który tam przebywał. Po drodze zatrzymali mnie konfederaci i biorąc mnie za szpiega, powiesić chcieli.

— Pan deputat Strzetuski — dodał Nemezy — który wówczas był rotmistrzem w obozie konfederatów, a nadjechał na to wszystko, wybawił cię i dał ci polecenie.

— Tak jest — potwierdził pan Tobiasz — kazał mnie odprowadzić jakiemuś szlachcicowi do małej chatki pod lasem, aby tam opatrzyć rannego...

— Tym rannym był pan starosta Modrowski... — uzupełnił Nemezy.

— On był strasznie ranny — ciągnął dalej pan Tobiasz — jemuby nie byli pomogli wszyscy wasi głupcy patentowani, wszyscy doktorowie ignoranci! Szmok tylko, Tobiasz Szmok mógł mu cudem swej nauki zapewnić życie.

— Wierzę, wierzę, panie magistrze — przerwał Nemezy — ale powiedz mi aspan, kogo tam więcej zastałeś?

— Było tam kilku konfederatów, dla bezpieczeństwa starosty, a między nimi był jeden młody bardzo, który zdawał się być bardzo czuły dla rannego...

— Gadzina... — szepnął Nemezy, marszcząc swą twarz oparzystą. — Otóż o tego młodego tu chodzi. Opowiadaj dalej, kochany panie Tobiaszu!

— Opatrzyłem rannego, jak mogłem, ale nie miałem nic pod ręką. Zaledwie trochę wody znalazłem. Nie było ani octu, ani wina, którego mi było potrzeba. Przypomniałem sobie, że o jakich tysiąc

kroków od chatki, za lasem, była karczemka, po pod którą mnie prowadzono. Umyśliłem tam pójść, spodziewając się, że dostanę tam jakich potrzebnych mi artykułów. Było to w nocy; konfederaci spali w drugim pokoiku, chory się także zdrzemnął trochę, pobiegłem tedy, bo ja, Tobiasz Szmok, dla mego pacjenta i dla mojej sztuki wszystkobyłem w świecie uczynił. Przybliżyłem się do karczemki i widzę, że w oknach jest światło, bo się przedzierało przez otwory okienic. Dobywam się tedy do drzwi, ale były zamknięte. Idę do okna, aby zapukać, patrzę przez otwór i trochę mi się niedobrze zrobiło. W izbie było pełno kozaków, przy stole siedziało kilku oficerów, a między nimi był ten młody konfederat, którego zastałem przy rannym staroście. Nie pukałem już do karczmy, ale uciekłem co tchu i nie chciałem już nawet wracać do rannego; ale nad Tobiaszem, zwykłym człowiekiem, przemógł Tobiasz, człowiek niezwykły, Tobiasz Szmok, adept i doktor... Nie można było opuścić chorego, wróciłem do owej chatki...

Nemezy słuchał z wytężoną uwagą, a Szmok, zwilżywszy gardło, ciągnął dalej:

— Chory starosta spał. Nie budziłem go, ale zająłem się przygotowaniem świeżych bandażów i kompresów. Wtem nagle słyszę gwar i hałas okropny, potem strzały rżesiste i do pokoju wpada oficer rosyjski i kilku kozaków. Na trzask drzwi, przebudził się chory, spojrzął na Rosyan i chwyciwszy w tej chwili za pistolet, który leżał przy nim na stoliku,

obok jakichś papierów, palnął z niego w oficera, a tak dobrze wymierzył, że Rosyanin padł od razu na ziemię... Kozacy wtedy dali wszyscy razem ognia do chorego, błysk i dym zaćmił mi oczy, kule świsnęły i mnie po nad głową, a gdy się dym rozwiał, ujrzałem rannego już bez życia... Miał kilka kul w pierśiach i głowie...

Nemezy kręcił z widoczną irytacją wąż swój biało-żółtawy.

— Potem cała izdebka—ciągnął dalej Szmok—zapełniła się oficerami rosyjskimi. Między nimi zobaczyłem ja wtedy dwóch Polaków: pana deputata Strzetuskiego i jeszcze jednego, którego nie znałem. Obaj oni byli bladzi, jak trupy... Najstarszy z oficerów rosyjskich kazał sobie podać papiery, co leżały przed zabitym, przejrzał je i odwracając się nagle do pana Strzetuskiego i jego towarzysza, zawołał:

— Aha, nie udała się sztuczka, moi panowie! To wy tacy targowiczanie, to wy regały? A zdrajcy! W własne sidła was złapano!

I dał rozkaz jakiś kozakom, a ci natychmiast związali obu i wyprowadzili. Potem — ciągnął dalej Szmok — miałem tę samą biedę z Rosyanami, jak przedtem z konfederatami...

— To już mniej nas obchodzi, panie Tobiaszu—przerwał mu Nemezy — ale powiedz mi, czy poznał-

byś ty tego młodego człowieka, który był przy ran-
nym staroście, a którego widziałeś w karczmie na
naradzie z Rosyanami? Czy poznałbyś go dziś jesz-
cze po latach tyłu?

— Czybym go poznał? — powtórzył Szmok.—
Toż ja go widziałem i poznałem przed rokiem?

Nemezy aż podskoczył na stołku.

— Człowieku! Gdzie go widziałeś i kiedy?
I czemu dopiero teraz o tem mówisz?!

— Alboż to mnie co obchodzi! Przed rokiem
byłem we Lwowie i widziałem go. Ubrany był
w mundur oficera austriackiego!

— Słuchajże!—zawołał Nemezy. — Na odszu-
kaniu tego człowieka panu deputatowi i mnie wiele
zależy. Jeżeli Najjaśniejszy Trybunał się zreasumu-
je, co da Bóg, musi niebawem nastąpić, to ten czło-
wiek, jako zoczyńca, stanie przed nim, a chybaby
nie było sprawiedliwości, gdyby wszystkie kroki nie
poszły za wyrokiem: *capite plectendus!* A jak się nie
doczekam reasumcy, a dostanę go do rąk, to ja sam,
ja, Nemezy Kapica, starszy woźny Najjaśniejszego
Trybunału, ja sam uważać go będę za skazanego *in
contumaciam* i skorzystam z rygoru *liberae capti-
vationis et colli* — tak mi Panie Boże dopomóż!
Mam go na mojej wokandzie, będzie to ostatnia
sprawa, którą obwołam, nim umrę!

I poprawiając karabeli swojej, stary woźny na-
łożył czapkę i rzekł:

— Panie Tobiaszu, chodźmy do pana deputata
Strzetuskiego! Jesteś ty, panie magistrze, trochę far-
mazon, trochę waryat, trochę pijak — i do tego
w dodatku Niemiec, aleś poczciwy człowiek! Mo-
żesz nam być pomocny w odkryciu złoczynstwa
i intrygi, chodź ze mną do pana deputata, Tobiaszu
Szmok!

Szmok popatrzył z zdumieniem na woźnego
i machinalnie podniósł się z swego krzesła, gdy na-
raz wpadł ktoś z trzaskiem do apteki, wołając:

— Jest tu woźny Kapica? Jest Szmok w do-
mu? Niech spieszą na ratunek!

Szmok otworzył zamknięte drzwi i wbiegł ra-
zem z Nemezym do apteki. Był to jakiś zadyszany
mieszczanin lubelski, który ujrawszy Nemezego,
zawołał nań:

— Panie Nemezy, spiesznie za miasto, stary
pan rotmistrz czy deputat padł bez życia na ziemi
i leży tam bez ratunku!

VII

Rabbi Nehemiasz.

Nemezy porwał się z miejsca i był w jednej chwili na ulicy, a Szmok wybiegł za nim. Obaj spotkali na szczęście woźnicę z kolasą, któremu pan deputat kazał wyjechać naprzeciw siebie za miasto. Obaj wskoczyli do kolasy i kazali pędzić, co konie wyskoczą.

Jak to naszym czytelnikom wiadomo z pierwszego rozdziału, zastali obaj starca już bez życia... Środki, których używał pan Szmok, okazały się bezskutecznymi.

Nemezy osłupiał z początku, a gdy w końcu troszeczkę się otrząsł z pierwszego wrażenia, twarz jego oszpecona wykrzywiła się grymasem, który był tak dziwacznym, że jak powiedzieliśmy wówczas, wiedzieć nie było można, czy wyrażać miał przestrah, czy wzruszenie, czy zdumienie, czy wszystko razem.

Dopiero w mieście samem, gdy raz jeszcze spojrział pytającym wzrokiem na Szmoka, a pan magister znowu niemym gestem mu potwierdził, że

niema żadnej nadziei, woźny trybunalski westchnął boleśnie i lży mu się zaszklily pod siwemi powiekami...

— Boże Wielki! — szepnął. — Sędzio Najwyższy!

Dla starego woźnego Bóg był przedewszystkiem sędzią i najwyższym marszałkiem trybunału Wszechświata... a śmierć nagła deputata terminem, który obwołano z wokandy niebieskiej...

Kolasa, jak wiemy, zatrzymała się na Korcach, przed starym, w większej swej połowie opustoszałym domem, w którym mieszkał staruszek.

Pan Nemezy Kapica i pan Tobiasz Szmok zanieśli zastygłe już zwłoki do wnętrza kamienicy.

Kamienica ta, jak już dawniej nadmieniliśmy, nie była zamieszkaną przez nikogo, oprócz przez starego rotmistrza-deputata. Sprowadzając się do niej, nieboszczyk kazał odrestaurować dla siebie tylko pokój jeden i dużą salę, dla jedynego zaś swego domownika małą izdebkę po przeciwnej stronie wąskiego i ciemnego korytarza, który zastępował się w starem domostwie.

Domownikiem tym był właśnie pan Nemezy. Nieboszczyk pan deputat był zawsze jego dobrodziejem i protektorem, dom jego był od dawnych czasów ową klamką, której się trzymała rodzina Kapiców. Dziad i pradziad pana Nemezego przekazali mu w rodzinnej tradycji przywiązanie dla domu

Strzetuskich. Gdy nieboszczyk, po długich latach niebytności, pojawił się w Lublinie i tu osiąść postanowił, oddał mu się zaraz na usługi nasz woźny, a pan deputat przyjął go serdecznie i przy sobie umieścił.

W milczeniu znieśli Nemezy i Szmok trupa do pokoju i złożyli na łożu, okrytem dywanem tureckim. Pokój ten był oszczędnie i w stosunku do owych czasów, po staroświecku umeblowany. Jediną jego ozdobą był bogaty zbiór kosztownej i najrozmaitszej broni i kilka portretów starych, porozwieszanych na ścianach. Nad łóżkiem wisiała para tureckich, bogato w srebro i kamienie oprawnych pistoletów, karabela i duży ryngraf z wizerunkiem Matki Boskiej, ten ulubiony symbol nabożeństwa barszczan, „sług Maryi, u Boga stojących na ordynansie“.

Od jaskrawej barwy dywanu dziwnie odbijała blada twarz umarłego. Śmierć nie zmieniła szlachetnych rysów oblicza — oblała je tylko tchnieniem spokoju...

Nemezy spojrział na zwłoki i folgując niejako wzbierającemu uczuciu żalu, padł przed nimi na kolana i począł całować zimne dłonie staruszka...

Potem porwał się, lzy obtarł rękawem kontusza, złożył dłonie starca na piersi, zdjął ryngraf z ściany, wetknął w palce zmarłego, spuścił na dół lampę, zawieszoną nad głowami i zapalił ją...

Oddawszy tę posługę zwłokom, spuścił firanki u okien i rzekł smutnym głosem do magistra:

— Panie Tobiaszu, zostań tu przy zwłokach. Ja pójdę do księdza komendarza, bo on jeden jest tu w Lublinie ze wszystkich znajomych nieboszczyka.

Nemezy wyszedł, a Szmok, przysunawszy krzesło do łóżka, usiadł, sparł łokcie na poręcz, a głowę na dłonie i wpatrzył się swemi małemi, bystremi oczkami w bladą twarz trupa, jakby chciał na niej wyczytać tajemnicę śmierci...

Tak trwało chwil kilka, gdy naraz drzwi z cicha się otwały i w progu ukazał się człowiek niski, stary, zgarbiony, z twarzą wychudłą i zgrzybiałą, ale z oczyma żywymi i pełnymi młodzieńczego prawie ognia. Ubrany był w długi talar czarny, jedwabny, aksamitem lamowany, po którym spływała duża, okazała, jak srebro biała i połyskująca broda.

Zaglądając do ciemnego pokoju, przybyły zatrzymał się przy drzwiach i odezwał się głosem dźwięcznym:

— Pokój temu domowi!

Tobiasz Szmok zwrócił się nagle ku drzwiom, a ujrawszy w progu postać starca, drgnął i jakby po śnie przetaił oczy. Zdawało mu się, że widzi nadziemskie jakieś zjawisko. Umysł magistra, tak skłonny zawsze do mistycyzmu i fantastyczności, zajęty był kontemplacją na temat tajemnic życia i śmierci, nie dziw tedy, że nieznanego starca przeczytał z początku za istotę nadziemską.

Powstał z krzesła, ale posunąć się naprzód nie śmiał, bo go lęk przejmował.

— Kto jesteś? — zapytał głosem egzorcyisty.

— Jestem Rabbi Nehemiasz — odparł przybyły — i chcę mówić z panem Strzetuskim. Wszak tu mieszka pan Strzetuski? Ale kogo ja widzę, toż to pan Szmok! Czyż mnie pan nie poznajesz?

Słowa te wytrzeźwiły do reszty z złudzenia pana Tobiasza, i nie rad był w duszy, że ten, którego uważał za nadprzyrodzone zjawisko, przemówił doń zwykłym, ludzkim językiem.

— Skądże wy mnie znacie? — zapytał.

— Zapomniałeś pan o rabinie Nehemiaszu! Byłem tu w Lublinie przed laty kilku, odwiedzając zwyczajem moim izraelską gminę. Przychodziłeś pan do mnie prosząc, abym mu przetłumaczył jakiś kabalityczny dokument, pisany po hebrajsku.

— Pamiętam, pamiętam — odparł Szmok. — Cóż was tu sprowadza, Rabbi Nehemiaszu?

— Z daleka wracam i daleko idę... Wracam z Frankfurtu, gdzie miałem dysputę z sektą Sebatyan, co przyjęli naukę Franka, a jadę jeszcze dalej, aby się uczyć poznawać Jehowę. Pielgrzymka moja poświęcona jest szukaniu prawdy i sławieniu wielkości Boga. Gdzie przyjadę, tam udaję się do mędrców Bożego słowa, czy oni Żydzi, czy chrześcijanie, czy wyznawcy proroka, bo jak mówi Salomon Gebirol: „W Bogu wszyscy jednacy, a choć

słowo nasze zmienia się, to wszystko łączy i jednoczy się w Nim“! — i wzywam mędrców tych na dysputę o Bogu, o wierze i rozmaitych religiach. Szukam prawdy ku sławie Jehowy! Bo czemuże uczyć Najwyższego, jak nie prawdą, a gdzie szukać prawdy, jak nie w sporach mądrości... Ona z rozumów ścierających się, jak iskra, wylata, a kto iskry tę uchwyci, ten błogosławiony!

— I pochwyciłeś iskry, Rabbi Nehemiaszu? — zapytał Tobiasz, którego zajęła namaszczona mowa Żyda.

— Nie jedna iskra z tych dysput padła na rozum mój i na serce, ale czem iskra jest do ognistego morza światła, którem jest oblicze Jehowy?... Nikt Go nie przejrzał, bo słabe oko ludzkie blasków słońca nie zniesie!

— I znalazłeś prawdę?

— Czem słońce dla żrenicy ludzkiej, tem prawda dla ludzkiego rozumu... Z daleka ona grzeje i świeci, ale mózg ludzki spaliłby się u samego jej źródła.

— Więc po cóż szukasz prawdy, kiedy jej nie znajdziesz? — zapytał magister, wykrzywiając twarz swą do ironicznego uśmiechu.

— Gdyby On, Adonai, pokazał mi się, nikczemnemu, i w lewej ręce trzymał żądzę prawdy, a w prawej prawdę samą, sięgnąłbym do lewicy i wziąłbym pierwszą, mówiąc w pokorze:—Jehowah,

prawda u ciebie jedynie, mnie pozostaw żądę jej tylko...

Tobiasz wzruszył garbatemi plecami i zapytał:

— Więc siedz w domu i nie dysputuj, Rabbi, kiedy prawdy łaknąć chcesz tylko, a mieć nie chcesz!

— W moich wędrówkach po świecie miałem ja już dużo dysput publicznych. Od czasu, kiedy stoczyłem dysputę z ks. Kollątajem w Warszawie i z Jezuitami we Lwowie, spierałem się o rzeczach wiary z rabinami, z Sabatyanami, z wyznawcami Lutra i z derwiszem jednym nawet... A jaki zysk ma stąd Rabbi Nehemiasz? Oto po każdej rozprawie z większą pokorą i z większem uwielbieniem wznoszę ducha do Stwórcy! Kiedy rozum się wysili w walce, kiedy bystrość omdlewa po wyteżeniu, kiedy myśl, spracowana dociekaniem, umilknie i źródło słów uschnie, wtedy duch mój korzy się przed Niezłębionym i Odwiecznym i kapie się w Tajemnicy Jego... I rozkosz czuję niewymowną, powtarzając słowa z księgi Mojżesza: *Schma Israel! Adonai Elo-henu! Adonai Echad!* Słuchaj Izraelu! Adonai Bóg nasz, Adonai jeden i jedyny! I czyż to nie dosyć na życie całe?—mówił dalej rabin z zapalem.— Wszakże Jehowie poświęca prorok swe słowa, rycerz swój miecz, męczennik swoją krew, pobożny swe serce, a mędrzec rozum swój! Czy to nie dosyć?

— I będziesz rozprawiał, będziesz dysputował, będziesz pytał, mądry Rabbi Nehemiaszu, aż ci usta ziemią zasypią...

— A gdybym milczał całe życie, czy nie taką samą danoby mi odpowiedź? Ale i pan, panie Tobiaszu, chcesz dysputować ze mną, tymczasem mnie w drogę pilno. Czy zastałem pana Strzetuskiego? Mam mu oddać przesyłkę ważną bardzo, z za morza...

— Pana Strzetuskiego chcesz widzieć? Mógłbyś go zobaczyć, mógłbyś się od niego dowiedzieć prawdy. On już wie prawdę, ale jej nie wypowie ustami swemi... Chodź za mną, mądry Nehemiaszu!

I udając się z Żydem wgląd pokoju, wskazał na zwłoki starca.

— Umarł! — szepnął Żyd i cofnął się mimowolnie.

— Przed godziną.

— Żegnam was, panie Tobiaszu, nie mogę spełnić tego, co mi powierzono.

— Cóż to za sprawa, którą miałeś załatwić z nieboszczykiem? — zapytał Szmok.

— Ja nie wiem. Dano mi, jak mówię, pisma jakieś i wskazano mi dwóch ludzi, z których jednemu miałem je doręczyć. Jeden z tych dwóch oto umarł, a drugiego znaleźć nie mogłem.

— Może je tu zostawisz Rabbi?

— Na cóż? Czy pan Strzetuski się obudzi? Człowiek, który dał zlecenie, był to zacny mąż i wiele mi dobrego wyświadczył... Nie wiem, co zawierają pisma i czy ważne są, zostaną one przy mnie... Rabbi Nehemiasza łatwo znaleźć, choćby w daleką pojechał drogę. Niema pobożnej gminy żydowskiej, w którejby nie był znany Rabbi Nehemiasz, a niema miejsca na świecie, gdzieby naszych nie było.

Rzekłszy to, Nehemiasz uklonił się poważnie i wyszedł, nie pytany już dalej o nic przez Szmoka. którego sprawa ta mało obchodziła. Na ulicy czekała już na rabina duża gromada Żydów, którzy pragnęli widzieć i słyszeć męża świętobliwego i sławnego w Izraelu.

Wkrótce potem powrócił Nemezy do domu. Wrócił złamany i zrozpaczony. Jedynego przyjaciela nieboszczyka, księdza komendarza, nie było w Lublinie.

Do żalości serdecznej, którą przepełnione było serce starego woźnego, przybył tedy jeszcze i ciężki kłopot, co ma począć teraz i jak uregulować interesa nieboszczyka. W frasunku tym swoim usiadł Nemezy obok zwłok pana deputata i oparłszy swą zasmuconą twarz na chudych łokciach, zatopił się w myślach. Nie spostrzegł nawet, jak go opuścił pan Tobiasz, który snać zatęsknił do swego laboratorium.

Po długim dumaniu, rzekł nareszcie do siebie Nemezy z westchnieniem:

— Pierwszą rzeczą będzie, pogrzebać nieboszczyka uczciwie, jak na jego godność i urząd trybunalski przystało! Ale jakże go tu pochować uczciwie—rozważał dalej pan Nemezy—kiedy jak niema, tak niema reasumpcyi trybunału? Gdyby to wypadło podczas kadencyi, to co innego! Ale tak, jakże pogrzebać uczciwie deputata lubelskiego? Wszakże trzeba by koniecznie, aby za trumną niesiono insygnia trybunału, aby za nią postępowali panowie deputaci z marszałkiem i prezydentem na czele, aby honorowa kompania z regimentu Czapskiego wystąpiła pod broń i salwę dała nad grobem, boć nieboszczyk nietylko w trybunale zasiadał, ale i na wojnie bywał!

Tak się biedził czas długi Nemezy, aż nareszcie postanowił zrobić, co się tylko da zrobić, byle pan deputat pochowanym był z pompą należną. Decyzja ta przypomniała mu, że na pogrzeb suty trzeba pieniędzy — a tu nie wiedzieć, czy zostawił gotówkę ś. p. deputat, czy zrobił przed śmiercią testament?

Zajęty temi myślami, wstał pan Nemezy Kapica, przeszedł się po pokoju, a znalazłszy się przed drzwiami, wiodącemi do sali, machinalnie popróbował klamki. Drzwi były otwarte i Nemezy wszedł do środka. Oczy jego padły na biurko, założone papierami.

— Może znajdzie jaką wskazówkę, co począć

i do kogo się udać? — pomyślał sobie Nemezy i zbliżył się do biurka.

Na samym wierzchu leżał złożony, ale nieopieczętowany list. Nemezy go odwrócił i spojrział na adres. Z najwyższym zajęciem odczytał napis wyraźny:

„Do mego Starego Sługi i Przyjaciela, Nemezego Kapicy“.

Woźny porwał gorączkowo list i, otwierając go, począł oczyma pochłaniać pismo. List krótki był i opiewał, jak następuje:

„Kochany Nemezy, Stary Przyjacielu!

Wierzyłem zawsze w przecucia, a przecucie to mówi mi teraz, że lada dzień, Najwyższy powoła mnie przed swój Majestat. Gdybym umarł nagle, zamknij mi powieki i udaj się do księdza komendarza... (tu było jeszcze kilka imion przytoczonych), aby zajęli się wypełnieniem mojej ostatniej woli. Testament znajdą pod krucyfiksem, na półce z książkami. Gdyby atoli śmierć moja nastąpiła wśród toczącej się wojny i niepokojów, które Ojczyznę naszą miotają, a które i ludźmi dziwnie rzucają po tej ziemi nieszczęśliwej, i gdybyś z tej okoliczności nie znalazł nikogo z wymienionych osób, tedy proszę Cię, poczciwy Nemezy, zastąp ich Ty, ku czemu daję Ci moc zupełną i upoważnienie. Osta-

tnia wola moja jasna jest i nie nadmiar trudna do spełnienia, a ludzie poczciwi pomogą Ci w tej chrześcijańskiej usłudze. Ufam Ci, jakom ufał zawsze, i jako dziadom Twoim ufali moi dziadowie. Jesteś dobrym chrześcijaninem, dobrym szlachcicem, byłeś zawsze wiernym i przywiązanym do mnie, toż umierając, będę spokojnym o to, co pamięć moja ma jeszcze ze światem do załatwienia. Żegnaj, poczciwy, wierny Towarzyszu!

Mikołaj Strzetuski, ręką własną“.

Nemezy z żalośnem wrzuceniem odczytał list nieboszczyka deputata. Łzy grochem potoczyły mu się po chudych policzkach.

— Panie! świeć nad jego duszą! — rzekł sam do siebie.— Człowiek to był świętej poczciwości, mądry i sprawiedliwy sędzia, waleczny żołnierz i pan pamiętny sług swoich wiernych! A jak on tu pisze do mnie, jak do brata! Starym przyjacielem swoim mnie nazywa, egzekutorem testamentu swego mnie mianuje... Bo jużćie egzekutorem być muszę, gdy ze znajomych i przyjaciół nieboszczyka i żywej duszy niema w Lublinie! Ostatni, który jeszcze tu mieszkał, ksiądz komendarz, wyniósł się z miasta, Bóg wie dokąd się udając!

I stary woźny, ocierając oczy, począł odczytywać po raz drugi list s. p. deputata. Odczytawszy go z wyteżoną uwagą i półgłosem, namyśliwszy się

przytem niemal nad każdym słowem z prawdziwem nabożeństwem, Nemezy podumał trochę, a w końcu, przejęty ważnością powierzonego mu obowiązku, uderzył się tak silnie pięścią w piersi, że się aż echem odezwały i zawołał:

— Nemezy, stary ladaco! czyś ty zasłużył na taki honor i na taką konfidencyę! Nemezy Kapica! przysięgnij sobie, jakoś szlachcic i uczciwy urzędnik Najjaśniejszego Trybunału, że się poprawisz, że się okażesz godnym zaufania! Odtąd obleczesz się — wołał dalej Nemezy, występując niejako z siebie samego — odtąd obleczesz się w nowego człowieka, a *ante omnia* nie upijesz się nigdy, nie tkniesz się kieliszka, dopóki nie spełnisz tego, co zawiera w sobie ostatnia wola j. w. pana deputata, rotmistrza wojska barskiego, Mikołaja Strzetuskiego.

Rzekłszy to podniesionym i uroczystym głosem, Nemezy uderzył się raz jeszcze całą siłą w piersi i dodał:

— Tak mi Panie Boże Święty dopomóż!

Potem złożył list z wyrazem uszanowania, schował go w zanadrze, westchnął raz jeszcze i zbliżył się do wskazanej półki, na której, według listu, znajdować się miał testament.

Podniósł powoli czarny, żelazny krucyfiks i ujrzał pod nim istotnie pismo opieczętowane. Obejrzał uważnie pieczęcie i napowrót położył na dawne miejsce testament, przyciskając go krucyfiksem.

— Choć mam wyraźną plenipotencyę — szepnął do siebie — nie otworzę go zaraz, aż po pogrzebie i nie otworzę go sam, lecz przy dwóch świadkach. Najlepiej może będzie wtajemniczyć w tę sprawę pana Tobiasza i pana patrona Klarkowskiego... Tobiasz Szmok trochę farmazon i szarlatan, ale poczciwy i sprytny Niemczysko.

Tak mrużąc wśród głębokiego zamyślenia, Nemezy powolnym krokiem wrócił do zwłok nieboszczyka deputata.

VIII

Niespodziewane wskazówki.

Powróćmy teraz znowu do naszego bohatera. Odjechał on wraz z swoim towarzyszem napowrót do miejsca, które mu służyło za chwilowy przytułek w Galicyi. Na pograniczu sanockiej i przemyskiej ziemi, w okolicy już górzystej, w odludnym, cichym zakątku, dalekim od świata, od miast i główniejszych traktów, u ubogiego szlachetki przebywał August, z nieodstępnym już teraz Mykitą.

Gospodarz Augusta, szlachcic poczciwy, osiadły na włoce ziemi, wdowiec, bezdzietny, wiodący pustelnicze życie w swym maluczkim, ubożuchnym dworku, rad był z swych gości, a osobliwie z Augusta, bo miał co i słuchać, i opowiadać, i nie nudził się tak w swej samotności.

Niebardzo wprawdzie wygodnie było tam Augustowi, ale za to bezpiecznie, bo dworek jakby deskami zabity był od świata i nie zaglądał doń nigdy żaden urzędnik; tylko tak zwany „paletnik“ zagaszczął od czasu do czasu z upomnieniami o podatki,

których szlachcic, jak dotąd nie płacił, tak i nadal płacić nie myślał.

Uradował się pocziwiec bardzo, gdy August z swej wycieczki w głąb Przemyskiego powrócił szczęśliwie, ale radość ta nie trwała długo, bo ledwie dzień minął, młody kościuszkowski żołnierz zachorował niebezpiecznie.

Głębokie wzruszenia, jakich doznał August, połączone z odzywającymi się skutkami niewygód i udręczeń, przebytych podczas kampanii i po niej, podkopały silne zdrowie młodzieńca. Zaniemógł ciężko. Tyfoidalna choroba Augusta długą była i niebezpieczną, i tylko silnej, młodocianej naturze zawdzięczać należało ocalenie.

W ubogim, choć gościnnym dworku, trudno było o odpowiednie pielęgnowanie chorego. Felczer, Żyd z najbliższego miasteczka, zastępował lekarza, a sam gospodarz, stara jego gospodyni, prosta wieśniaczka, i Mykita mieniali się w służbie około chorego. Długo walczył biedny August z śmiercią, aż w końcu nastąpiło szczęśliwe przesilenie. Choroba ustąpiła, ale rozpoczęła się długa i nudna rekonwalescencya.

Oslabiony niezmiernie, niezdolny do przedsięwzięcia podróży, której pragnął, August przebywał w ustronnym dworku chwile niewypowiedzianej tęsknicy... Umysł jego niecierpliwý, wiecznie agitowany, wyrwał się w świat ze swemi planami i ży-

zeniami, a złamany chorobą organizm odmawiał posługi.

Nareszcie siły powracać zaczęły. Wiosna, która się właśnie co uśmiechać zaczęła w naturze, ożywczym tchem swym przyspieszyła rekonwalescencyę, a August głuchy na prośby i przestrogi poczciwego szlachcica, który częścią z istotnej obawy o zdrowie i osobiste bezpieczeństwo swego gościa, częścią z egoizmu wyjeżdżać odradzał, wyruszył w drogę. Pożegnany czule przez szlachcica, opatrzony w potrzebne i niepotrzebne rady i wskazówki, bo tem tylko hojnie mógł szafować ubogi poczciwiec, opuścił August z swym wiernym towarzyszem Mykitą, który podczas choroby dał mu nowe dowody przywiązania, swe ciche schronienie.

Celem pierwszym podróży Augusta był Lwów.

Nowa ta stolica nowej prowincyi była wówczas przepelnioną przejezdnymi ze wszystkich stron Polski; w niej gromadziły się nieszczęśliwe rozbitki powstania. Mnóstwo było wówczas żołnierzy kościuszkowskich we Lwowie, a mianowicie wyższych oficerów.

W kółach patryotycznych obradowano nad sytuacją, obmyślano dalsze środki działania, układano polityczne plany.

Z najwyższą niecierpliwością spieszył August do Lwowa. Pominąwszy już chęć zorientowania się w nieszczęśliwym chaosie wypadków, które wypeł-

niały tę epokę narodowego rozbiccia, miał nadto nasz młody bohater mnóstwo osobistych planów i kwestyj, o których się w dalszym ciągu tego rozdziału dowiemy.

Przybywszy nareszcie po długiej, niesłychanie nudnej i trudzącej podróży do stolicy, August stanął z Mykitą w jednym z najnędniejszych, żydowskich zajazdów, i zaledwie kurz podróży zstrzepał z swych sukien, wyszedł na miasto, z głową, rojącą się od zamysłów i kombinacyj, a w istocie bezradny i niewiedzący, co począć, gdzie się najpierw obrócić, jak się oryentować.

Szczęście chciało, że zaraz na pierwszej ulicy, którą puścił się bez celu, znalazł znajomego z obozu. Ujrzał bowiem na kilkanaście kroków młodego, sążnistego człowieka, w ubraniu cywilnem, ale kusem i z pewną żołnierską fantazyą przyciętem, skracającego na jedną z bocznych ulic.

— Demostenes! — zawołał August z najwyższem ukontentowaniem, ujrawszy przechodnia — Demostenes! Demostenes! — powtórzył donośniej.

Na to wołanie młody człowiek zatrzymał się, spojrział w stronę, z której go głos dochodził, i ujrawszy Augusta, z rozwartemi ramionami doń pospieszył.

— August! August! — zawołał barczysty młodzian i po tych słowach nastąpił uścisk serdeczny, przeciągły.

Spotkany tak niespodziewanie przez Augusta młody człowiek był to jego najlepszy kolega i towarzysz broni. Służyli razem w jednym szwadronie i razem przebyli całą kampanię. Demostenes było to przezwisko żartobliwe, którem barczystego eks-żołnierza ochrzcili w obozie koledzy z powodu, że się dość mocno jąkał.

Nie gniewał się on za tę nazwę, ale owszem usprawiedliwiał ją w bardzo zaszczytny sposób. Jąkał się, jak Demostenes, nim rozpoczął swój zawód oratorski, i był wymownym także, jak Demostenes... w swoim, rozumie się, rodzaju. Był bardzo wymownym wobec Rosyan, a dzielne cięcie i celny strzał były jego oratorskimi argumentami, wielce skutecznymi i przekonywającymi, bo zamykały nazawsze usta przeciwnikom...

Po pierwszych wynurzeniach ukontentowania wzajemnego, poczęli obaj przyjaciele przypominać sobie czasy obozowe i opowiadać sobie przebyte przygody w bitwie i po bitwie maciejowickiej. Po kilku chwilach takiej żywej pogadanki, w której odzywały się i wesołe tony niedawnej, tak obfitej w zapal i serdeczne nadzieje przyszłości, i smutne, prawie rozpaczne refleksje nad oplakaną sytuacją Ojczyzny i jej obrońców, zapytał Demostenes Augusta, gdzie mieszka, a usłyszawszy, że stanął w zajęździe, począł nalegać, aby się do niego sprowadził.

— Sprowadź się do mnie, panie bracie — mówił, jakając się swoim zwyczajem — będzie ci wese-

lej i taniej. Nie wiem, jak u ciebie z mieszkaniem; jeśli tak, jak u mnie, to tem większa potrzeba, byśmy się skonfederowali. Ja sobie mieszkam w jurydyce pana Kalinowskiego, mam już u siebie dwóch kolegów, a jeszcze i dziewięciu pomieściłbym. Rozwielisz się chłopcze, zobaczysz się z wiarą, z towarzyszami broni, i razem też coś o sobie pomyślimy!

Nie opierał się tym szczerym zaprosinom August i zaraz tego samego dnia do Demostenesa się sprowadził.

Dość daleko za miastem, na przedmieściu Zielonem, znajdowała się jurydyka pana Kalinowskiego. W dziwacznie zbudowanym, pomarańczowym dworku, mieszkał Demostenes z swymi kolegami, prowadząc prawdziwie żołnierskie gospodarstwo. August znalazł i dla siebie i dla swego Mykity dość wygodne pomieszczenie, a towarzystwo dawnych kolegów obozowych w pokrzepiający sposób wpłynęła na skołatany jego umysł.

W usposobieniu Augusta znać było jednak zawsze jakiś gorączkowy niepokój, który zdawał się go trawić bezustannie. Poznać było można zaraz, że oprócz trosk wspólnych wszystkim rozbitkom, miał on osobne przyczyny smutku, cierpienia i wiecznej, zagadkowej irytacji.

Cały dzień prawie spędzał on w mieście, gdzie zdawał się czegoś szukać i badać. Po kilka godzin trawił regularnie w kasynie Hechta, w sali kontra-

ktowej, gdzie można było zastać osoby z wszystkich prowincyj Polski. Osobliwie zaś szukał August znajomości z ludźmi podeszłego wieku, starymi weteranami, a skoro się tylko dowiedział o jakimś eks-konfederacie barskim, nie spoczął prędzej, póki go nie poznał i w celach, jemu tylko samemu wiadomych, nie wybadał.

Cele te jednak nie bywały osiągane, bo August wracał zawsze smutny do swej kwatery i całe godziny spędzał w głębokiej, ponurej zadumie, z której go nic wyrwać nie zdołało.

Tak minęło kilka tygodni, gdy pewnego dnia Demostenes, powróciwszy do domu, rzekł do Augusta:

— Nie podobasz mi się chłopcze z twoim wiecznym smutkiem. Nie znam ja jego powodów i nie mam prawa w nie wchodzić, skoro ich sam wyjawić nie chcesz, ale Bóg widzi, radbym z duszy pocieszyć cię i rozweselić!

August uśmiechem przyjaznym podziękował Demostenesowi, który mówił dalej:

— Uważam, że masz pasyę wierutną do starych bywalców, do weteranów barskich... Ciągłe cię widuję z nimi i uważam, że najradziej z nimi rozmawiasz. Otóż podziękuj mi z góry, mój kochany mruku, za niespodziankę, jaką ci zrobię. Przybył tu do Lwowa stary wyga, weteran siedmdziesięcioletni, barszczanin, Amerykanin, żołnierz kościuszkowski.

— Jakto? Był w Barskiej Konfederacyi, a potem w Ameryce? — zapytał zainteresowany August.

— Tak jest — odparł Demostenes — Bóg wie, kedy nie bywał... Popłynął z panem Pułaskim do Ameryki, a powrócił z panem Kościuszką, bił się przez całą kampanię dzielnie, a wzięty przez Rosyan, uciekł im szczęśliwie po drodze i tu się dostał! Tęgi szlachcic, co się zowie. Nam wszystkim mógłby dać naukę, jak miłować Ojczyznę i jak wierzyć w dobrą sprawę *usque ad finem!*

— Kiedyż go tu przyprowadzisz?

— Dziś wieczór go obaczysz. Nie miał dobrego pomieszczenia, więc go zaprosiłem do siebie. Będzie mieszkał z nami i powiadam ci, choć stary, pójdzie jeszcze z nami na Wołoszczyznę, do Włoch, lub gdzie iść wypadnie!

Jak to Demostenes przewidział, ucieszył się August bardzo zapowiedzią takiego gościa. Nie wychodził już tego dnia z domu, oczekując niecierpliwie starego konfederata. Nareszcie pod wieczór przyprowadził go Demostenes.

Był to niski, zażywny staruszek, jak gołąb siwy, z rumianą, choć wiekiem pooraną twarzą, z wzrokiem pocziwym i żywym, z młodzieńczą jeszcze werwą w ruchach i mowie. Ubrany był w niebieską krótką kaptę, przepasaną czarnym pasem, w buty wysokie i szaraczkowe, szerokie szarawary. Na ramieniu miał burkę, pod pachą mały, skórzany man-

telzaczek obozowy, w rękę kij sękaty. Trzymał się prosto, chodził żwawo, i gdyby nie twarz zgrzybiała i wąs biały, mógłby uchodzić za człowieka o pełnej sile męskiej.

Nie czekając ani nie wymagając żadnej rekomendacji, stary przywitał się serdecznie z Augustem, rzucił kij i mantelzaczek na ziemię i zaraz się odezwał:

— No, jakże waszmościowie myślą: długo my tu popasać będziemy?... Czy robi się co, czy już wszystko ma być stracone?

— Waszmość, panie rotmistrzu, mógłbyś już odpocząć — odpowiedział Demostenes — nam to myśleć o sposobie, w jakiby jeszcze zrobić coś dla sprawy...

— Co! odpocząć mówisz? — zawołał stary — odpocząć? Jak przyjdzie dla mnie czas odpocząć, to wtedy już żadna pobudka mnie nie zbudzi, i wtedy już nie stanę do apelu, wtedy zamkną mi oczy i do jamy wrzucą... Odpoczne, jak umrę... Ale dopóki mi nogi statkują, dopóki ramieniem ruszyć potrafię, to nie spoczne, braciszku! Cóż to tak źle mi życzysz, panie bracie, chciałbyś, abym sromotnie zmarł w łóżku, w szpitalu, a nie pod gołym niebem, śmiercią żołnierską?... Nic z tego, kochanku; tego nie będzie, jeżeli Bóg łaskaw na starego Jacka Wieruskiego!...

I począł stary rozprawiać żywo o swoich dziejach i dopytywać się o wieści polityczne. Ostat-

nie wypadki nie zdołały oziębic jego zapału, nie zdołały zachwiać wiary. Perorował, kombinował i starał się wpoić we wszystkich, że jeszcze nie wszystko stracone.

— Nie zjedzą nas oni, nie zjedzą... Staniemy my im jeżem w brzuchu... A jak poleże głowa, to zęby zostaną... Straszne to dopuszczenie, to prawda i u Boga w tajemnicy, jak dalej koście padną... ale doczekam ja się jeszcze, doczekam!

Potem zaczął się rozpytywać o starszyznę, o Kościuszkę, o Kniaziewicza, o Dąbrowskiego i opowiadał swoje przygody z Rosyanami. August i Demostenes słuchali go z zajęciem, a żyłasta, kocią żywotnością obdarzona natura starego pana Jacka i jego niczem nie zachwiana wiara w zmianę na lepsze, przepełniały ich prawdziwą otuchą.

Tak gawędzili w noc późną, aż nareszcie Demostenesowi oczy kleić się poczęły — i zaproponował, aby się udać na spoczynek.

— Oho, mój braciszku — zawołał stary — już to snem mnie nie uraczysz! Już to zawsze ze starymi sen w niezgodzie! Nie mogę sypiać, jak kilka godzin i to byle gdzie: na ławie, to na ławie, na śniegu, to na śniegu, na koniu, także dobrze, ale krótko! Idźcie spać chłopcy, a ja sobie pochodzę jeszcze po izbie i podumam moim zwyczajem.

— I mnie sen nie wabi, panie rotmistrzu — ode-

zwał się August — jeżeli waszmość pozwoli, chętnie mu dotrzymam towarzystwa.

— Tem lepiej! pogawędzimy jeszcze o tem, co było, o tem, co będzie... Czy to niema o czem mówić staremu wydze, jak ja?

Demostenes udał się do drugiego pokoju, a pan Jacek pozostał sam na sam z Augustem.

— Powiedzże mi, mój chłopcze — ozwał się starsuszek — jak się nazywasz? Ja znam całą Polskę; nie sposób, żebym gdzieś z jakim twoim dziadkiem, wujaszkiem, stryjaszkiem razem nie bijał lub nie pijał! Ot, to zaraz haczyk do gawędy!

— Nazywam się August... Narewski... — rzekł z lekkim wahaniem młodzieniec.

— Narewski... Poczciwa krew, dobre gniazdo... Trzech Narewskich było w konfederacyi, jeden zginął pod Lanckoroną... A znałem Narewskiego, cześnika, tęgi, panie, był rębacz, gdzieś w Opatowskiem osiadły... W Łęczyckiem także są Narewscy... Czy z tego gniazda?...

— Nie... — odpowiedział trochę zmieszany August — nie z nich pochodzę... Nie mam krewnych tego imienia...

I zarumienił się przy tych słowach, jakby bał się zostać schwytanym na kłamstwie.

— A z jakichże? Z której okolicy?

— Panie rotmistrzu — rzekł August po chwil-

ce namysłu i patrząc w oczy panu Jackowi — ja... ja... właściwie zmieniłem nazwisko...

Pan Jacek cofnął się od Augusta, a potem spojrział nań z niedowierzaniem.

— Zmieniłeś nazwisko! — zawołał zdumiony — a to dla czego? Toż przecie aspan szlachcic, a szlachcic nazwiska byle o co nie zmienia...

— Miałem do tego pewne powody — odparł August — ale przed tobą, panie rotmistrzu, właśnie nie będę tacił mego pierwotnego nazwiska. Walczyłem w szeregach konfederacyi, więc nie będzie ci ono obcem. Nazywam się Szczytowski...

Wymieniwszy swe nazwisko, August spojrział na pana Jacka z dziwną jakąś obawą, ale uważnie, jakby chciał wysłedzić odrazu, jakie ono na nim sprawi wrażenie.

Pan Jacek, usłyszawszy je, aż podskoczył nagle.

— Człowieku! — zawołał — i ty takie nazwisko taisz? Szczytowski! Szczytowski! Syn podkomorzego Andrzeja?

— Tak jest — zawołał z bijącym sercem August. — Czy znałeś mego ojca, rotmistrzu?

— Czy go znałem? I jak go znałem! Człowieku! i ty mi od razu nie powiedziałaś, kto jesteś — a ja cię szukałem i szukam!

Augustowi krew uderzyła do głowy, wzrok za-

płonął mu żywo i z uniesieniem prawie rzucił się ku starcowi.

— Więc znałeś mego ojca! — zawołał głosem pełnym wzruszenia i chwycił za rękę rotmistrza — znałeś go i dać mi możesz o nim wiadomość! O Boże mój!... przecież się doczekałem...

I cisnąc dłoń starca do ust, począł ją August całować.

— Chłopcze, co tobie jest? — zawołał pan Jacek, dłoń wyrrywając. — Uspokój się, poczekaj, opowiem ci, co wiem. Nie otrzymałeś żadnej wiadomości od twego ojca?

— Żadnej, żadnej! Ja nie widziałem go nigdy, ja nie znam mego ojca?

— I listów jego z Ameryki nie odbierałeś?

— Nie, nigdy! Nie wiedziałem nigdy, gdzie jest i czy żyje! Ale, Boże mój!... może on żyje jeszcze! Ty z nim byłeś w Ameryce, panie rotmistrzu... mów, może żyje?!...

— Nie żyje! — odparł stary kofederat — umarł, ale niedawno... Trzy lata temu zaledwie!

— Trzy lata zaledwie! — powtórzył z najwyższym wzruszeniem August — trzy lata! I ja nic nie wiedziałem o jego losach aż dotąd! Mógłbym go zobaczyć, mógłbym udać się do niego! Umarł...

— Tak, umarł! — powtórzył rozrzewniony

widokiem Augusta pan Jacek — zapóźno się dowiadujesz o wszystkim...

— Więc opowiadaj mi o nim, panie rotmistrzu! Opowiedz mi wszystko, wszystko, co wiesz! O ty nie pojmujesz, panie rotmistrzu, jak pragnąłem tych wieści... Teraz może padnie światło na tę okropną zagadkę!

— Cóż to za zagadka? — zapytał Wieruski.

— Przed tobą nie będę tuić niczego, panie rotmistrzu — rzekł August — tyś pierwszy człowiek, który mi przynosisz wieść o ojcu moim, pierwszy, który mówisz o nim, jako przyjaciel! Powiedz mi, panie Wieruski, a nie taj przede mną niczego, powiedz, czy mógłbyś uwierzyć, że ojciec mój dopuścić się mógł jakiego haniebnego czynu, naprzykład zdrady przyjaciela i Ojczyzny?

— Chłopcze, co ty mówisz? — zawołał prawie ze zgrozą Wieruski. — Podkomorzy Szczytowski miałby być zdolnym do zdrady... zdrady Ojczyzny! Ależ to *horrendum!* Za taką kalumnię ja pierwszy gotówbym się upomnieć i dochodziłbym szablą takiej krzywdy sromotnej, wymierzonej imieniu nieposzlakowanemu!

— O i ja poprzysiągłem pomścić tę krzywdę! — zawołał z zapalem August. — Nikt, co ojca mego znał choć trochę, nie śmiałby tego przypuszczać! A przecież to straszne podejrzenie, rzucone przez

podłych ludzi na imię mego ojca, zaruwa mi życie, krwawi serce i każe wyrzec się nazawsze najdroższych nadziei!

— Nic a nic nie pojmuję... — szepnął Wieruski, patrząc z zdumieniem na Augusta.

— Czy słyszałeś, panie rotmistrzu, co o staroście Modrowskim... i jego stosunkach z moim ojcem?

— O Modrowskim słyszałem, że rotmistrzował jednej chorągwi z partyi małopolskiej... Wiem także, że rodzic twój a starosta żyli w najserdeczniejszej przyjaźni...

— Dobrze, panie rotmistrzu — zawołał August — pomóż mi więc teraz rozwiązać tę straszliwą zagadkę.

I wydobywszy z węzła swego pęk papierów przerzucił je, a wyjąwszy jeden, przybliżył się z nim do światła i rozłożył przed oczyma rotmistrza.

— Czytaj tedy, czytaj, panie Wieruski — mówił, trzymając papier w drżącej dłoni — i wyjaśnij tajemnicę, jeżeli możesz.

Na wierzchu arkusza papieru stało słowo *Copia*, a dalej odczytać można było akt następujący:

„Przed urzędem i aktami niniejszemi grodzkimi i przede mną, Janem Hotorowiczem, instygatorem i namiestnikiem burgrabstwa grodzkiego *comparens personaliter* JMC pan Walenty Zawada, porucznik

chorągwi JWP. rotmistrza Modrowskiego, partyi małopolskiej wojsk koronnych *confederationis, nomine* rycerskiej starszyny swego oddziału, t. j. ichmościów pułkownika, porucznika, namiestników i chorążych, prezentował i do ksiąg podał *actum* poniższe, które podając, prosił, aby akt pomieniony, ze wszystką w nią interesowaną rzeczą, był do ksiąg przyjęty i wpisany. Jakoż on, przyjąwszy, w księgi wpisać pozwoliliśmy, a wpisując *do verbo ad verbum, tenor sequitur estque talis*“:

„Jako podkomorzy, Andrzej Szczytowski, niedy rotmistrz chorągwi koronnego wojska *confederationis*, komendę swoją bez permisyi opuściwszy i do obozu rosyjskiego przeszedłszy, tamże *perfidie* w praktyki zdradzieckie z wrogami wolności i Ojczyzny się wdawszy, tej niesłychanej ku pohańbieniu szlacheckiego imienia i zelżeniu czci polskiego rycerza, zdrady i zbrodni się dopuścił: iż nawiódłszy oddział kozaków na leczonego się z ran swoich, w obronie Ojczyzny odniesionych, pana Ignacego Modrowskiego, starostę, rotmistrza chorągwi, w ręce ich sromotnie ku pastwie okrutnej go wydał, a następnie wojska też rosyjskie na obóz nasz naprowadziwszy, wielkiego przelewu krwi katolickiej i ostatecznej zagłady naszej stał się zdradzieckim sprawcą. Co iż widzieli, owego Szczytowskiego *in flagranti* zeszedłszy, panowie porucznik Szczepan Rozworski, namiestnik Walenty Zawada i towarzysze (tu kilka nazwisk), dodani wspomnianemu rotmistrzowi Mo-

drowskiemu dla straży, przysięgą swą stwierdzają i stwierdzić zawsze gotowi“...

Dalej następowało oświadczenie, iż ponieważ wojska rosyjskie zupełnie kraj opanowały, a wojska konfederackie są rozbite i sądy wojenne nie istnieją, *actum* to ku wiecznej infamii zdrajcy w księgi ma być wpisane.

— Święty Boże! — zawołał, odczytawszy akt ten, Wieruski — to musi być intryga jakaś haniebna! Andrzej zabójcą przyjaciela swego, Andrzej zdrajcą Ojczyzny, aliantem Rosyan! O, gdyby on wiedział o tej okropnej kalumnii, rzuconej na imię jego, on, co tyle cierpiał za swoją Ojczyznę...

— Więc mój ojciec nic o tem nie wiedział, panie rotmistrzu?

— Nie byłby tań tego przede mną! A zresztą, jak mógł wiedzieć, skoro wzięty przez Rosyę w ostatnich chwilach przed pierwszym rozbiorem, zagnany na Syberyę, piętnaście lat zostawał w srogiej niewoli, sroższej nad ów jasyr, o którym nam pamięć przechowali nasi dziadowie.

— Biedny ojciec mój! — szepnął stłumionym głosem August, chowając twarz swą w dłoń — i o tem nic nie wiem, nic! Słucham cię, rotmistrzu, opowiedz mi wszystko, co wiesz, o kolejach mojego ojca.. Kiedy on zginął bez wieści, ja byłem niemowlęciem, a matka moja pewną była, że poległ. Żadnej,

żadnej nie miano o nim wiadomości. W chłopięcym wieku odumarła mnie matka i znowu długo nie wiedziałem nic o ojcu; aż gdy dorosłem, zatruto mi życie tą potwarzą, tym aktem, który być musi płodem haniebnej intrygi jakiejś.

I mówiąc to, August poszarpał w kawałki kopię aktu, rzucając go pod nogi.

— Co wiem, to ci opowiem, chłopcze mój drogi — rzekł tonem głębokiego współczucia Wieruski — ale dokładnych szczegółów dać ci nie jestem w stanie. W Ameryce losy wojny dzieliły nas ciągle i widywać się mogliśmy tylko rzadko. Ale uspokój się pierwej, odetchnij. Drżysz cały, jak w febrze.

— Jestem spokojnym już. Mów rotmistrzu!

— Otóż najpierw uprzedzić cię muszę, że i tym razem padłeś ofiarą dziwnego igrzyska losu! Zrządzenie Boże chciało, abym cię pierwej nie znalazł.. Ale o tem później, bo trzeba przecież zachować ład jakiś w naszej rozmowie, która cię w taką gorączkę wprawia. Zaczynam od tego, co wiem o twoim ojcu. Znałem ja twego ojca, ale nie byliśmy nigdy w jednej partyi, on był w mała, ja w wielkopolskiej. Przy końcu naszej wojny z Rosyanami, gdy rozbięcie wojska skonfederowanego było zupełne, gdy Jeneralicja musiała uchodzić, gdy już obaj starościce Pułascy ustępowali wrogiemu przeciwnictwu losów, trudno było wiedzieć nam co o sobie. Partye konfederackie były rozbite w garstki, rozsypane i roz-

proszone. Z tego to czasu, kiedy już wszystko było na schyłku, datuje się ów akt, jak wierzę wraz z tobą, potwarczy i z szkaradnej jakiejś machinacyi wyłęły. Nic ci tedy wyjaśnić w tej sprawie nie potrafię...

August westchnął i głowę smutno pochylił...

— Któż mi go wyjaśni i kiedy? — szepnął do siebie z rozpaczą.

— Wiem tylko — prawil dalej Wieruski — jakie mniej więcej koleje przechodził twój ojciec, zostawszy ujętym przez Rosyan. Wspominał mi tylko, że ujęty został zdradą swoich. Rozumiesz: nie on sprawcą, ale on ofiarą był zdrady! Zapędzono go w głąb Rosyi, a potem na Syberyę, bo wiesz może, że wielu naszych braci pędzono wówczas na Syberyę i Kamczatkę. Tam przeniósł męczarnie długie. Kilkanaście lat jęczał w niewoli. W końcu udało mu się uciec. Jakiś ludzki kupiec rosyjski, ulitowawszy się nad nim, pomógł do ucieczki. Przebrany za sługę, pojechał ś. p. podkomorzy do Finlandyi, dostał się do Sztokholmu, potem do Londynu, a potem do Ameryki odpłynął.

— Czemuż, dostawszy się na wolność, nie wrócił do kraju, gdzie miał syna? — zapytał August.

— Dziwne są wyroki Boże, mój chłopcze. Ś. p. podkomorzy opowiadał mi, że chciał to koniecznie zrobić, bo gnała go tęsknota do żony, która przebywała podczas ostatnich walk konfederackich w Dre-

źnie i od której na krótki czas przed dostaniem się do niewoli rosyjskiej, otrzymał wiadomość, że czuje się matką. Odtąd nie miał żadnej o niej wiadomości—a wydobywszy się na wolność, pragnął koniecznie dostać się do kraju, za austryacki kordon, gdzie, jak sobie roił, czeka go ukochana żona z dzieckiem, którego nie znał... Tymczasem spotkał się w Londynie z jednym z znajomych rodaków, który mu opowiedział, że kiedy jeszcze po rozbiciu i klęsce konfederackiego wojska schronił się do Drezna, słyszał pewną wiadomość, iż pani podkomorzyna przy rozwiązaniu swem umarła i że dziecię, na świat wydane, także nie żyje... Wieść ta fałszywa przypawiła ojca twego o boleść okropną. Na nieszczęście, uwierzył jej a uwierzywszy, czuł, że niema po co wracać do kraju, gdzie, jako obywatel wolności, a jako człowiek rodziny nie zostanie... bo podobno żadnych a żadnych nie miał bliższych krewnych?

August potwierdził, że istotnie nie ma bliższych pokrewnych.

— Popłynął tedy do Ameryki i tu walczył w szeregach republikańskich, a potem osiadł w Filadelfii. Ale zdrowie mu już nie służyło, niedomagał ustawicznie. Na domiar dziwnego zrzędzenia losów, jeden z rozbitków naszych zawieruszył się w tych czasach do Ameryki i ten ojcu twemu wieść przywiózł, jako syn jego, a więc ty, Augustcie, żyjesz. Nie wiem, kto to był taki, podobno ktoś, co wcale w kra-

ju nie był znajomy twemu ojcu, ale przypadkiem dobrze był poinformowany. Opowiadał, że pani podkomorzyna, doczekawszy się syna, długo jeszcze żyła, ale przed kilku laty umarła...

— Tak jest! — zawołał August — matka odumarła mnie, gdym był już kilkunastoletnim chłopakiem. Gdyby ojciec mój, wydobywszy się z niewoli, wrócił był do kraju, nie zastałby już jej, ale syna swego znalazłby... Boże mój, czemuż dałeś mu uwierzyć fałszywej wieści!

— I on tak wołał, i on tak na los i na siebie narzekał. Natychmiast chciał wracać do kraju. Było to w czasach, kiedy my wybieraliśmy się z Ameryki do Ojczyzny, dokąd pan Kościuszko odjeżdżał. Ojciec twój chciał koniecznie wracać także. Ale niestety, choroba jego musiała być ciężka, skoro ani wieści z Ojczyzny, ani wiadomości o synie nie zdołały go podźwignąć z łoża boleści. Daremnie się szamotoł z sobą, daremnie kazał nieść się na miejsce, skąd odpłynąć mieliśmy. Trudy, do których ponoszenia się zmuszał, przyspieszyły jego koniec. Uczuł się blizkim skonu. Wtedy przywołał mnie do siebie, prosząc, bym wróciwszy do kraju, koniecznie wyszukał ciebie i oddał ci list twego rodzica i jego błogosławieństwo!

— Gdzież jest to pismo? O, panie rotmistrzu, nie godziło się kazać mi tak długo czekać! — zawołał z gorączkową niecierpliwością August.

Stary rotmistrz popatrzył smutnie na młodzieńca i wzięwszy go za rękę, mówił tonem łagodnym, pełnym współczucia:

— Uspokój się, proszę, biedny chłopcze. Uprzedziłem cię, że i tym razem los dziwnie poigrał z tobą. Listu tego i papierów jakichś innych, które doń były dołączone, nie mam...

— Starcze niegodziwy! — zawołał August — gdzież je podziałeś? Czyż tak spełnić należało ostatnią wolę przyjaciela?

— Nie potępiaj, nie miotaj tak ciężkich zarzutów! — odpowiedział Wieruski.—Usłysz i sądz, azalim zawinił. Przybyłem do Polski później od innych, bo właśnie choroba ojca twego, którego nie chciałem opuścić przed śmiercią lub wyzdrowieniem, wstrzymała mnie w Ameryce. Przybyłem już przed samą insurekcją krakowską. Szukałem cię we wszystkich obozach, przeglądałem listy wojskowe, nigdzie twego nazwiska nie znalazłem.

— Przybrałem nazwisko Narewski — tłumaczył August — bo właśnie w tym czasie ohydna potwarz, o której wiesz, rozsiewaną była zacięcie przez ludzi, którym na takiej niesławie mego nazwiska wiele zależało.

— To też daremnie szukałem Szczytowskiego. Uprosiłem sobie nawet rozmaite osoby, aby mi w tem pomagały. Tymczasem nadszedł dzień bitwy pod Maciejowicami. Ranny mocno, dostałem się

do niewoli. Porwany przez kozaków, wlec się musiałem pieszo, umierając prawie od znużenia, znosząc bole okropne z ran. Pędzono mnie nocą, bez odpoczynku, wraz z kilkudziesięciu innymi jeńcami. Po drodze mijaliśmy małe miasteczko. Kozacy zatrzymali się w obszernej karczmie i nam pozwolili wstąpić do niej, ogrzać się trochę i odpocząć. W izbie gospodniej upadliśmy na ziemię bezsilni i tak przemocować mieliśmy. Moi towarzysze posnęli snem twardym, kilku kozaków czuwało na straży. Ja spać nie mogłem, bijąc się z bolesnymi i ciężkimi myślami. Żydowstwo przestraszone poukrywało się gdzieś w kątach karczemnego zabudowania. Było już późno, kiedy z ubocznego alkierza wszedł do izby, w której leżałem, Żyd jakiś sędziwy i poczciwego oblicza. Ujął sobie straż kozacką, która mu pozwoliła pomówić z jeńcami. Ponieważ ja tylko czuwałem, więc do mnie mówić począł. Ze słów jego wiały powaga, miłosierdzie i pobożne namaszczenie. Pocięszał mnie i pytał, czy czego nie potrzebuję. Bóg widzi, w tej chwili nie potrzebowałem niczego, tylko śmierci. Miałem jedyną tylko rzecz do załatwienia na świecie — a tą rzeczą było polecenie twego ojca, panie Auguste. Wpadło mi na myśl pomówić o tem z Żydem. Jakże się zdziwiłem, gdy się dowiedziałem, że znał on dobrze rodzinę Szczytowskich, że twego dziada zapamiętał, twego ojca znał dobrze, że ciebie dzieckiem i chłopakiem widywał u matki.

— Któż to był? — zapytał August.

— Gdy się go zapytałem o nazwisko, odpowiedział, że jest Rabbi Nehemiasz.

— Nehemiasz, stary Nehemiasz, Żyd bardzo bogobojny i w religii swej uczony! O tak, on i cała jego rodzina przywiązana była zawsze do naszego domu. Domyślam się, oddałeś mu pismo mego ojca?

— Tak jest, oddałem mu, bo obudził we mnie zaufanie i bo innej rady nie widziałem. Zakląłem go na wszystkie świętości jego wiary, aby cię odszukał. W Ameryce wspominał mi ojciec twój wiele o swoim starym towarzyszu i przyjacielu, panu Mikołaju Strzetuskim, któremu mnie na wypadek, gdyby żył jeszcze, polecał i do którego miałem się udać o pomoc w poszukiwaniu za tobą. Powiedziałem tedy Żydowi, aby papiery powierzone mu wręczył Strzetuskiemu, gdyby ciebie nie znalazł. Otóż i cała moja relacya — powiedz, czyli zawiniłem? Gdybym przeczuwał, że w miesiąc później uda mi się wyjść z niewoli szczęśliwie, nie byłbym uczynił tego, ale czyż mogłem liczyć na to?

— Daruj, drogi rotmistrzu — rzekł August — żem śmiało ci robić cierpkie wyrzuty! Wybacz, żal i uniesienie chwilowe mi je podyktowały. Nie, nie mogłeś zrobić lepiej. Nehemiasz, to stary wiernik mego ojca. Żyd to uczciwy i szczerze nam sprzyja. Znam go i wiele o nim słyszałem ciekawych opowieści. Za młodu trudnił on się handlem i gruby na nim majątek zarobił, a gdy się starzeć począł, rzucił się do ksiąg religijnych, do Biblii, Talmudu, badać

począł nawet namiętnie systemata religijne innych narodów, a dziś uchodzi podobno za najmędrszego rabina i doznaje formalnego uwielbienia od swoich współwyznawców.

— Szczerze się cieszę, że mnie zaufanie nie zawiodło... Czy daleko stąd jest siedziba Nehemiasza?

— Mieszkał zazwyczaj w okolicy, gdzie położone były włości mego ojca. Natychmiast wybiorę się w drogę, zaraz nawet Lwów opuszczam.

— Zaraz? Jak to... w nocy? — ozwał się rotmistrz. — Doczekajże przecież świtu, a wtedy wiesz co? I ja z tobą pojedę. Duszno mi i ciasno tu w mieście między Niemcami, a zresztą będzie to dla mnie uspokojeniem sumienia, gdy ujrzę w twoich rękach pismo ojca, które ci sam doręczyć powinienem.

August opierał się zamiarowi starca, ale Wieruski nie chciał ustąpić i perswazye nic nie pomogły.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.